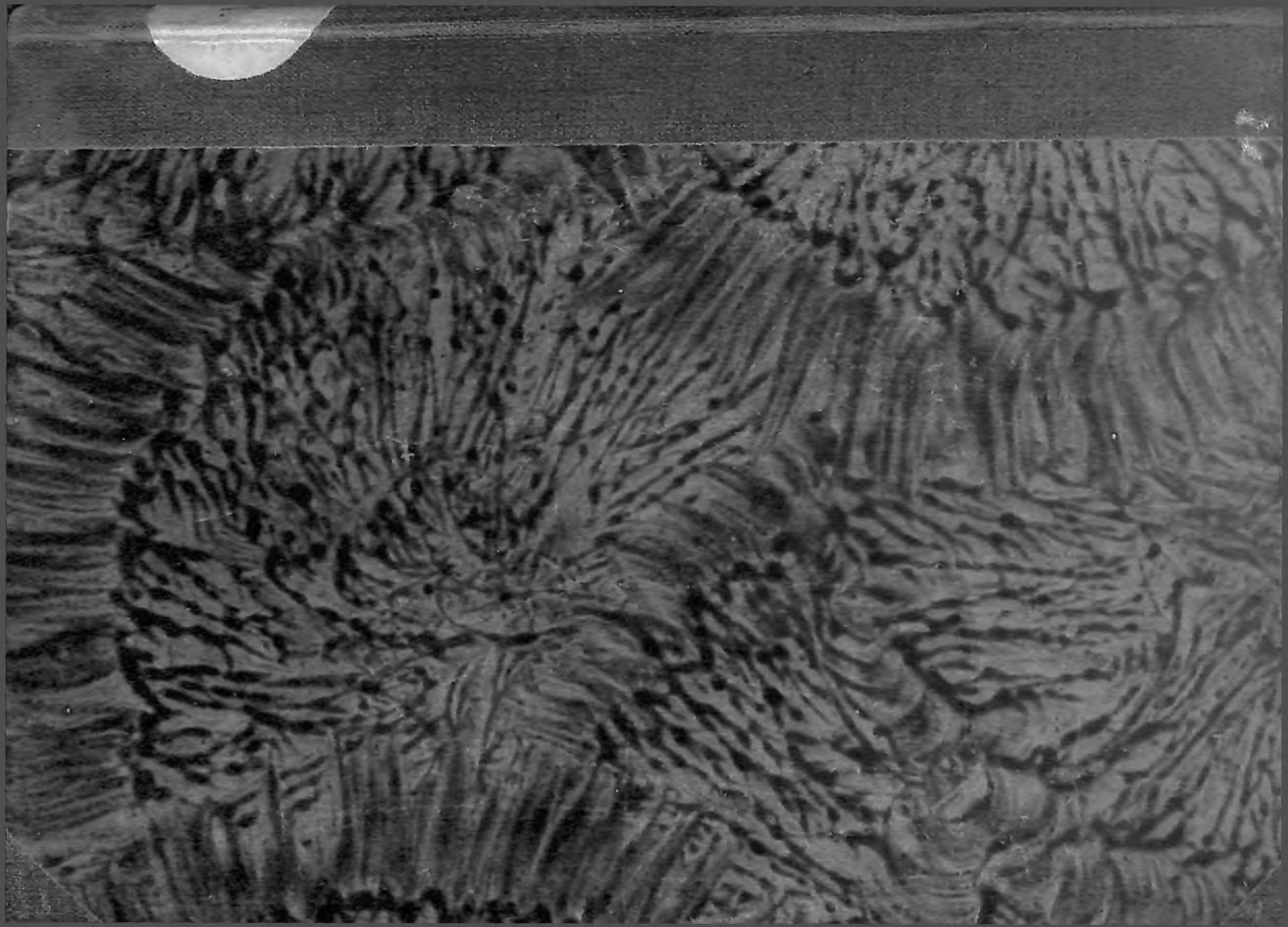

771 KPiP

1100771

WACŁAW MAKOWSKI

REWIZJA UMOWY SPOŁECZNEJ

WARSZAWA — 1933
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

771

REWIZJA UMOWY SPOŁECZNEJ

120

WACŁAW MAKOWSKI

REWIZJA UMOWY SPOŁECZNEJ

WARSZAWA — 1933
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Biblioteka Ministerstwa Pracy
Nr 771
Opieki Społecznej i Zdrowia

Drukarnia Wł. Łazarskiego, Warszawa Złota, 7/9.

ZADANIE ŻYWEGO POKOLENIA

Wiosną r. 1916 mówiłem do prawnictwa polskiego: „Zadaniem prawników polskich jest dziś stworzyć prawo państwowe polskie odnowa, na powszechnem pragnieniu narodu oparte".

Jakkolwiek zastrzegałem zaraz, ze „nie jest to zadanie łatwe, niejednej mądrości musimy się nauczyć, niejedną ustawę stosować i odrzucić", to jednak zarówno ja, jak i moi słuchacze, wyobrażaliśmy sobie pracę, która nas czekała, o wiele prościej, niźli to miało być w rzeczywistości.

Istotnie. Przychodziła chwila, w której zamiast rozpraszać nabytą wiedzę na rzeczy błahe lub obce, mogliśmy użyć jej na rzecz najważniejszą i najwznioślejszą dla prawnika, na organizację własnego państwa. Cóż prostszego? Umieliśmy przecież na pamięć wszystkie formuły klasyczne współczesnej rzeczypospolitej demokratycznej. Zgłębiliśmy zasady francuskiego prawa konstytucyjnego od czasów wielkiej rewolucji.

Wiedzieliśmy, że treścią państwa jest prawo i władza, źródłem ich — nieprzedawniona, niezbywalna i niepodzielna suwerenność ludu, że lud wykonywa to podstawowe prawo zwierzchnictwa zapomocą podzielonych władz: ustawodawczej, wykonawczej i sądowej, i t. d. i t. d. Nauczyliśmy się tego wszystkiego i wielu jeszcze podstawowych prawd z mądrych ksiąg francuskich, niemieckich i innych, poznaliśmy mechanizm życia prawno-państwowego — tak się nam przynajmniej zdawało.

Wkrótce zaczęła się ta praca naprawdę. W r. 1917 organizacja podstaw sądownictwa, w r. 1919 — pierwszy sejm konstytucyjny, t. zw. „mała konstytucja", początek odrodzonego ustawodawstwa polskiego w różnych dziedzinach, coraz rozmaitsze problematy gospodarcze, społeczne, wymagające rozstrzygnięć i sformułowań prawnych, refleksy rewolucji rosyjskiej, wojna z Rosją, konstytucja marcowa 1921 r., piętrzące się zagadnienia międzynarodowe, unifikacja złączonych dzielnic, kolizje prawne; katastrofy ekonomiczne, próba ogniowa trwałości naprędce improwizowanych urządzeń i praw, defilada zmieniających się rządów, maj 1926 r. i reforma konstytucji marcowej. To wszystko na tle wydarzeń w dziedzinie życia politycznego całego świata, gdzie równocześnie dokonywały się głębokie przeobrażenia, wyrastały nowe problematy, dla których nie było prostego rozwiązania w dawnych formułach, — znanych nam zresztą teoretycznie.

Jesienią r. 1926 wobec prawników, którzy chcieli wysłuchać moich 25-letnich spostrzeżeń, powracałem do tego samego tematu, do budowania polskiego prawa państwowego. Zadanie jednak, chociaż niezmienione w swojej istocie, rozrosło się w ciągu dziesięciu lat realizacji w sposób nieprzewidywany.

Mówiłem wtedy: „Polska zdobyła możność swego życia państwowego w okresie olbrzymiego wstrząsu, sięgającego głęboko w istotę współżycia ludzkiego.

Ustroje państwowe, wypracowane ofiarą i poświęceniem pokoleń poprzednich, przechodzą dziś stanowczą próbę. Albo znajdą w sobie dość żywych sił rozwoju i potrafią zadośćuczynić rosnącej potrzebie dnia, albo ulegną nieobliczalnym skokom improwizacji i idącemu za nią chaosowi.

Nowe państwo, oparte na koordynacji pracy, na pozytywnych gwarancjach solidarności interesów, na zrozumieniu podstawowej współzależności obywatela i rzeczypospolitej, to nowe państwo może i powinna realizować Polska.

Wierzę w to, że Rzeczpospolita Polska powołana jest do zrealizowania prawdy nowego państwa,—że w młodych pokoleniach polskich tkwią potrzebne potemu siły..."

Ale niedość jest wygłosić kilka apodyktycznych twierdzeń, złożyć wyznanie wiary, trzeba znaleźć drogi prowadzące do urzeczywistnienia.

Biblioteka Ministerstwa Pracy
Nr 771
Opieki Społecznej i Zdrowia

W tym samym roku wnosiłem do sejmu projekt częściowych zmian konstytucyjnych, nie były one jeszcze realizacją idących przeobrażeń ustrojowych, ale pośród motywów, dla których je wnosiłem, była także chęć zrobienia pierwszego kroku w tym kierunku. Powoływałem się wówczas na doświadczenie życia demokratycznego Europy, na rozwój dotąd lekceważonych sił społecznych, na ich decydującą rolę. „Wiek XIX całem swojem doświadczeniem udowodnił, że jednostka nie przychodzi na świat z gotowemi prawami, ale przeciwnie, że organizacja społeczna jest źródłem, z którego wypływają prawa jednostki"; „Nowożytne społeczeństwo stwarza nowe formy życia demokratycznego, stawiając na miejsce politycznej demokracji indywidualizmu hasła i postulaty demokracji społecznej, demokracji zorganizowanej".

Upłynęło jeszcze kilka lat, te same problematy ulegały dalszej komplikacji, nie rozwiązuje się przecie tak łatwo zagadnień, w których splątały się interesy przeciwstawione w tysiącznych postaciach, — polityczne i gospodarcze, narodowe i światowe, indywidualne i społeczne, i t. d. i t. d.

Konstelacja życia publicznego stoi jeszcze ciągle pod znakiem skutków wielkiej wojny i wpływów rewolucji rosyjskiej. Wielka wojna była zamachem samobójczym indywidualizmu politycznego i gospodarczego, który doszedł był już do krańców swoich możliwości i musiał się załamać. Wyzwoliła ona stłu-

mione dotąd, ale już oddawna rozwijające się czynniki życia społecznego.

W Rosji, w tej społeczności najmniej wewnętrznie zorganizowanej, trzymającej się tylko więzią zewnętrzną władzy, wyzwolony pęd socjalizacji życia nie natrafił na poważniejsze przeszkody.

Po zniesieniu i unicestwieniu absolutyzmu władzy monarszej i burżuazyjnego demokratyzmu krótko trwającej republiki liberalnej, życie miało tam być zorganizowane jakby bez tradycji, według prostego schematu stopniowania związków społecznych wewnątrz jednej klasy robotników.

Koncepcja taka dla demokratycznego indywidualizmu, a nawet dla liberalizującego socjalizmu Europy zachodniej, wydawała się czemś karykaturalnem. Tymczasem karykatura ta utrzymuje się w ciągu kilkunastu lat na olbrzymim obszarze wśród stu kilkudziesięciu miljonów ludności. Doprowadza ona w swych stosunkach wewnętrznych do głodu i nędzy, jakiej nie wyobrażano sobie dawniej, do rozprzężenia wszystkiego co było uważane za niewzruszone podstawy życia społecznego, do urządzeń, żywo przypominających niewolnictwo, a pomimo to trwa i niewątpliwie urabia według swoich koncepcyj psychikę pokolenia, które w ciągu tych kilkunastu lat dochodzi do samowiedzy, a nie mając innych wzorów, wychowane w nienawiści do wszystkiego co jest poza kordonem, stanowi psycho-społeczną podstawę dalszego trwania

republiki sowieckiej. Co więcej, wpływ urządzeń sowieckich daje się odczuwać Europie i światu nietylko drogą bezpośredniej propagandy i na wielką skalę, wszelkiemi środkami prowadzonej reklamy politycznej, ale drogą mniej efektowną, chociaż równie ważną, pośredniego oddziaływania na życie gospodarcze i społeczne świata. Czy to będzie dumping zbożowy lub drzewny, czy akcja polityczna w kierunku podtrzymywania międzynarodowego niepokoju przez porozumienia i alarmy wojenne, czy otwieranie i zamykanie granic Rosji dla inicjatywy gospodarczej lub importu zagranicznego, — zważywszy obszar tego eksperymentu, jego warunki i skalę, — nie może on pozostawać bez wpływu.

Gdybyśmy chcieli szukać przyczyn, które umożliwiły to wydarzenie, analizować siły społeczne, na których się ono opiera i utrzymuje, musielibyśmy stwierdzić, że nie są niemi ani prawa człowieka i obywatela, prawa przyrodzone i gwarantowane przez umowę społeczną, ani oparte na nich koncepcje demokracji indywidualistycznej z jej suwerennością ludową, podziałem władz, parlamentaryzmem i całym aparatem negatywnych gwarancyj wolności i równości. Że wprost przeciwnie, instynkt społeczny, potrzeba społecznego życia, solidarność podtrzymywana przez tępienie odrębności, solidarność jednej klasy, która wciąż jeszcze utrzymywana jest w nastroju walki z upiorem kapitalizmu indywidualistycznego, że to

są czynniki, na których się ten eksperyment opiera i dzięki nim trwa. Kolektywizacja sięga tu do dziedzin tak dalece indywidualistycznych w swem założeniu, jak gospodarstwo drobnego rolnika, a jakkolwiek wdziera się tam przez przemoc i zbrodnię, to jednak nie widać, aby miała się już załamywać.

Tak więc ta karykatura i to szaleństwo, jakiem jest eksperyment rosyjski, może trwać, ponieważ fanatycznie i bezwzględnie posługuje się instynktem społecznym w przeciwieństwie do świadomych potrzeb indywidualnych człowieka; posługuje się nienawiścią masy w stosunku do jednostki i dąży do organizacyjnego utrwalania tych czynników społecznych.

Możnaby powiedzieć, że jest to wynikiem niskiego, barbarzyńskiego jeszcze poziomu społeczności, w jakiej się eksperyment odbywa, że gra tu rolę instynkt władzy, że rozwój indywidualizmu jest postępem kulturalnym, i t. d.. Zapewne, gdyby społeczność rosyjska stała na wyższym poziomie różniczkowania indywidualistycznego, wytworzonym przez głębszą kulturę osobistą, eksperyment nie byłby się udał, tak jak się nie udał w żadnym innym kraju europejskim pomimo intensywnych prób w tym kierunku, a nawet nie udał się wśród ludów nierosyjskich, kulturalnie bardziej zróżniczkowanych, które skorzystały z pierwszej możności wyzwolenia się z pod panowania Rosji, jak Polska, kraje bałtyckie itp. Nic innego, tylko właśnie wpływ kultury indywidualistwcznej był tym czynni-

kiem, który nie dopuścił do dalszych promieniowań komunizmu rosyjskiego.

Ale zarazem stało się rzeczą konieczną w zestawieniu doświadczeń własnych Europy i obrazu próby bolszewickiej odróżnić rzeczy przypadkowe od rzeczy istotnych. Czy bowiem społeczność może trwale istnieć, opierając się na samych tylko koncepcjach indywidualizmu, na samych tylko negatywnych gwarancjach nieprzeszkadzania wykonywaniu przyrodzonych praw jednostki, godząc się na ustępstwo z tych praw tylko w granicach koniecznych dla ich skuteczniejszej obrony?

Gdybyśmy spróbowali poddać analizie stosunek instynktów społecznych i osobniczych, ich wzajemne oddziaływanie wyrażone w przebiegu życia dzisiejszych państw europejskich, tobyśmy spostrzegli, że i tam, gdzie niewątpliwie wysoki rozwój kultury indywidualistycznej staje na przeszkodzie rosyjskim formom niwelacji, — socjalizacja życia postępuje w sposób stały i zdecydowany.

Jak w teatrze, gdzie gra zespołowa wyparła dawną manjerę protagonistów, tak w życiu zwycięża konstrukcja gry zespołowej, poddającej sobie poczynania indywidualne. Słowo „standardyzacja" którebyśmy tak niedawno uważali nietylko za dziwoląg językowy, ale jeszcze bardziej za katastrofę kulturalną, gdyby słowu temu miała odpowiadać jakaś rzeczywistość, — jest dziś niewątpliwie odpowiednikiem coraz

wyraźniejszej rzeczywistości. Tłum zgniatający jednostkę, tłum wzgardzony narzuca swoją prawdę ludzkości.

Ekwilibrystyka na linie indywidualizmu demokratycznego, żonglująca paradoksem wolności jednostki, bronionej przez wolę społeczną, wolę ludu, — zobaczyła w zwierciadle wielkiej wojny i rewolucji rosyjskiej widmo swojego złudzenia.

I dzisiaj już niema powrotu do tych paradoksów, brzmią one pusto, pozbawione treści, wyśmiane krwawo przez doświadczenie życia.

Kultura osobista nie objęła całej ludzkości, nie przeniknęła w głąb. Niewielka część uprzywilejowanych doprowadziła ją do pewnych wyżyn, do wyrafinowania, i uważała siebie za najważniejszą część świata. Przeciwko temu samoomamieniu powstała siła liczby. Tam gdzie, jak w Rosji, masa liczebna ludzi nie była dotknięta kulturą osobistą, dokonała ona krwawej niwelacji do swego poziomu. Tam, gdzie stosunek nie był tak jaskrawy, niwelacja odbywa się inaczej, odbywa się jednak wszędzie — poziom tej niwelacji jest określony wypadkową wzajemnego oddziaływania czynników osobistych i społecznych w zbiorowości. Ta wypadkowa znajduje swój wyraz w organizacji życia społecznego.

Bo jakkolwiek bohaterem dzisiejszego dramatu nie jest ani „Wróg ludu", „najsilniejszy wówczas, kiedy stoi sam", ani „Zaratustra", ale jest nim „Ulica",

„Miasto", „Człowiek z tłumu", to treścią tego dramatu jest dziś tak samo jak dawniej, stosunek jednostki do zbiorowości i odwrotnie. Rozwiązanie tego stosunku może się znaleźć tylko w organizacji. Formy organizacji będą różne, zależnie od tego, który z czynników stanowić będzie większą siłę organizacyjną — czy podobieństwo zbiorowości, czy odrębność jednostki. W tamtym wypadku przeważy mechaniczna solidarność zbiorowości, w tym — organiczna solidarność jednostek — jeżeli użyjemy terminologji Dürkheima,— w obydwu jednak więź społeczna, oparta na solidarności, stworzy jakąś formę organizacyjną społeczeństwa.

I tak samo jak łudzili się ci, którym się zdawało, że na podmiotowych wartościach i prawach przyrodzonych człowieka można oprzeć całą konstrukcję życia, tak samo byliby w błędzie ci, którzyby całą swoją wiarę oparli na instynkcie społecznym masy.

Kocioł parowy jest martwem żelastwem, jeżeli jego tłoków nie porusza prężność pary, para nie ma żadnej prężności, jeżeli nie zostanie zamknięta w ścianach kotła. Jednostka i zbiorowość walczą ze sobą nieustannie, nienawidzą się, są dla siebie wzajem biegunami życia, ale żyć mogą tylko przez siebie, przez wzajemne oddziaływanie na siebie, związane są ze sobą łańcuchami niezwalczonej solidarności, — a jedyną formę względnego przynajmniej pokoju znaleźć mogą w organizacji społecznej.

Kowal, który nadaje dowolny kształt żelaznej sztabie, rozżarza ją w ogniu, miażdży młotem, panuje nad nią, ale jest zarazem tego żelaza, jego właściwości, jego oporu niewolnikiem, związanym ze swoją umiejętnością i pracą, zależnym od nich fizycznie i moralnie, — innym, niż rybak, ogrodnik albo tkacz. Pomiędzy człowieka, jego pracę i materjał jego pracy wciska się tej pracy technika, t. j. całość stosunku wytworzonego przez wzajemne oddziaływania na siebie pracy i materji. Stosunek ten ulega pewnym prawom, prawom technicznym. Kto je pozna, ten może rozwiązywać problematy techniczne, może w tej dziedzinie być twórcą.

O ileż bardziej skomplikowany będzie stosunek człowieka, traktowany nietylko z punktu widzenia pracy technicznej, jego stosunek do społeczności, która jest nietylko materjałem pracy, ale środowiskiem życia, wywierającem swój wpływ tysiącami dróg.

Tu również działają pewne prawa, prawa społeczne, prawa stosunku jednostki do zbiorowości, prawa skomplikowane i trudne do poznania. Kto je pozna, kto przynajmniej odgadnie intuicją ich zasady,—ten może rozwiązać problemat społeczny, może być twórcą w dziedzinie organizacji życia społecznego.

Oto jest zadanie godne najwyższego wysiłku.

Niewiele było epok w historji, któreby tak jak nasza otwierały przed oczami ludzkości, przed doświadczeniem jednego pokolenia, procesy stawania się przeo-

brażeń społecznych. Trudno wyobrazić sobie doskonalsze laboratorjum życia społecznego niż to, do którego wprowadziła nas historja, nietylko dając nam możność patrzenia ale zmuszając do czynienia doświadczeń. Bodaj że po raz pierwszy dzieje się to w tak olbrzymiej skali, zapewne też nie powtórzy się drugi raz tak prędko.

I oto spada na nas ciężar największego obowiązku.

Od tego, czy potrafimy poznać prawa tworzenia się organizacji społecznej, albo przynajmniej odgadnąć ich zasady, od tego, czy potrafimy stać się twórcami w tej najważniejszej z dziedzin, zależy, czy ta jedyna epoka nie zostanie przez nas zmarnowana, czy pokolenie nasze będzie pokoleniem bezczynnych gapiów historji, czy jej twórców.

Zdobycze, jakie osiągnęliśmy w dziedzinie stosunku pracy do materji, zdobycze techniki są zdumiewające. Ale ich wspaniałość jest zawieszona w próżni, dopóki nie dorównają im zdobycze w dziedzinie stosunku człowieka do społeczeństwa, zdobycze organizacji społecznej.

Jakaż bowiem byłaby wartość najznakomitszych wynalazków, jeżeliby miały one służyć tylko nadużyciom jednostek, albo ginąć wskutek niezrozumienia przez masy?

Twórcza inicjatywa jednostki napotyka zawsze opór bezwładu zbiorowości, stopniowo musi go przezwyciężać, aż uzyska aprobatę. Dotyczy to wprowa-

dzenia w życie społeczne wszelkich nowych wartości kulturalnych, czy będą one oparte na wynalazku technicznym, czy na udoskonaleniu organizacyjnem. W tej dziedzinie ze zrozumiałych powodów proces pozyskania aprobaty jest o wiele trudniejszy i bardziej skomplikowany.

Konieczność wyrównania tych dwóch dziedzin — kultury technicznej i organizacyjnej, indywidualnej i społecznej — występuje w dzisiejszym świecie w sposób natarczywy. Panuje ona nad emocjami bardziej jeszcze niż nad świadomością, dlatego też próby jej zadośćuczynienia są często tak chaotyczne i przypadkowe. Jakiekolwiek są — stanowią one treść życia zbiorowego Europy, a może i świata, w ciągu lat powojennych, w natężeniu dotąd niespotykanem.

Mówiłem już o rewolucji bolszewickiej w Rosji;— obok nas na Zachodzie przewrót niemiecki zasługuje także na najgłębszą uwagę. Tu kultura osobista sięgała o wiele głębiej, niż w Rosji, to też eksperymenty niwelacyjne nie mogły osiągnąć powodzenia, ale supremacja zagadnień społecznych nad indywidualnemi jest zupełnie wyraźna. Walczą ze sobą dwa socjalizmy — narodowy i międzynarodowy. Ten pierwszy, popierany — zapewne jako zło mniejsze, — przez wielki kapitał, buduje cały swój demagogiczny program na podniecaniu instynktów grupowych, czy to w postaci nacjonalizmu, gdy chodzi o stosunek do Żydów, do cudzoziemców t i. p., czy to w postaci kolek-

tywizmu, gdy mówi o socjalizacji banków prywatnych, i t. p. Ten drugi — w sposób mniej lub więcej jaskrawy, jako prąd organizacyjny socjalno-demokratyczny, albo jako rewolucyjny bolszewicki komunizm, operuje zawsze tendencjami społecznemi. Zagadnienia gospodarcze, sprawa podziału bogactw, organizacji pracy, racjonalizacji życia ekonomicznego dominują. Problematy życia nie kończą się w sferze walki o prawo, prawo człowieka i obywatela, wolność i równość, ani też nie zamykają się w działalności dawnych organów państwa prawnego — w parlamencie, rządzie, sądzie. Instytucje gospodarcze, zawodowe, związki i zrzeszenia, „korporacje prawa publicznego" — termin wytworzony w prawie niemieckiem — stwarzają nowe formy kooperacji publicznej. Tworzy się nowe życie społeczne, zorganizowane inaczej jak przed wojną.

To samo dotyczy Austrji.

Francja, która jeszcze do końca XIX w. pielęgnowała najstaranniej zasadę indywidualizmu i liberalizmu, stała się widownią raptownego rozwoju syndykalizmu, wielkiej Konfederacji Pracy, działającej nazewnątrz, stosunkowo mało interesującej się ściśle politycznemi sprawami życia parlamentarnego, wzorującej się na socjalizmie niemieckim i jego poczynaniach w dziedzinie organizacji życia gospodarczego.

Włochy proklamowały wyraźnie przeobrażenie państwa, stworzenie nowego ustroju faszystowskiego, któ-

ry ma być przeciwstawieniem demokracji liberalnej, państwową formą syndykalizmu, opartą na stopniowaniu organizacji społecznej.

Każdy z tych procesów przeobrażeniowych zasługuje na poważne studja; obok nich takim samym, albo bardzo podobnym kataklizmom ulegają wszystkie inne organizacje państwowe.

Na tendencjach solidarności międzynarodowej opiera się konstrukcja Ligi Narodów i coraz nowe uzupełniające ją koncepcje.

Możemy tego wszystkiego poprostu nie widzieć.

Trwać w przekonaniu, że prawda tej praktyki, w jakiej wzrastaliśmy, jest niezłomna, że wszystko co się dzieje jest chwilowym zamętem, który przejdzie, a potem wrócą formy dawne, znane i uznane, do których przyzwyczailiśmy się kiedyś. Niedawno jeszcze przekonywał mię jakiś wyzuty z ziemi na terenie bolszewickim obywatel, że najdalej za rok lub dwa ma nadzieję powrócić do swoich posiadłości, że wprawdzie zabudowania są tam zniszczone, kultura zaniedbana, pola jednak są naogół uprawiane kolektywnie, przywrócenie do dawnego rozkwitu będzie trudne ale możliwe. Nie mogłem dzielić jego przewidywań. Nie wiem, co się stanie z kolektywną uprawą roli w Rosji sowieckiej, ale jestem pewien, że dawne formy i dawni właściciele nie znajdą tam dla siebie miejsca.

To samo dotyczy innych ogólniejszych przemian.

Stosunek jednostki do społeczności, rozumiany ja-

ko podstawa organizacji współżycia, uległ zmianom nie tak może jaskrawym, ale w założeniu swem równie głębokim, jak stosunek indywidualnej własności ziemskiej w ustroju bolszewickim.

Trzeba mieć odwagę stwierdzić, że państwo utworzone przez umowę społeczną ludzi, będących podmiotami praw przyrodzonych, państwo, mające zadanie negatywne obrony człowieka przeciw zbiorowości, państwo, którego jedyną więzią jest władza a jedynym celem tworzenie prawa, wykonywanie prawa i stosowanie prawa, — należy do przeszłości.

W komplikacji życia rozrosły się zadania człowieka, rozrosły się tak dalece, że o ich indywidualnem wykonywaniu nie może być mowy.

W dziedzinie gospodarczej produkcja mechaniczna prowadziła w sposób nieunikniony do organizacji pracy zbiorowej; kapitalizm, wyrastający z indywidualizmu i żerujący na prawach przyrodzonych, zacierał coraz bardziej cechy indywidualne i znaczenie indywidualne poszczególnych ludzi na rzecz zrzeszonego bezosobowego kapitału. Elementami życia społecznego stawały się klasy, nie jednostki.

To wszystko należy już do faktów dokonanych, stało się podstawą dalszej ewolucji życia społecznego.

Realizacja dóbr i korzyści społeczności może się dziś dokonywać tylko zbiorowo, drogą wzajemnej pomocy. Jednostka na jakiemkolwiek polu jest bezsilna. Jedyną formą twórczości i wpływu indywidualnego

jest inicjatywa, pozyskanie dla niej wykonawców i kierownictwo niemi, a więc znowu działalność zbiorowa.

Zmieniła się rola państwa. Stanęło przed niem pozytywne zadanie regulatora stosunku jednostki do zbiorowości, regulatora stosunków pomiędzy samorzutnie powstającemi zrzeszeniami, które dziś są już „korporacjami prawa publicznego", a więc elementami państwa. Stanęło przed niem dalej zadanie ogniwa organizacyjnego ludzkości.

Widzimy jak piętrzą się nowe problematy.

Możnaby może w stosunku do nich zachować się biernie.

Niech się dzieje co się ma dziać. Ale to stanowisko indywidualistycznego odseparowania się jest nie do utrzymania. Do najcichszych zakątków wdziera się trzask pękających form, przenika krzyk tworzącej się przyszłości.

Są ludzie, którym się zdaje, że wszystko zależy od takiej czy innej formuły prawnej. Że dość jest napisać nową ustawę, zmienić kilka paragrafów konstytucji, zastrzec szereg praw dla rządu albo prezydenta, ograniczyć prawa sejmu, zmienić prawo wyborcze itp. Takie przestawianie tych samych mebli w tym samym pokoju, kiedy cały dom trzeba budować od fundamentu, bo dawne fundamenty zbutwiały, jest zajęciem błahem.

Trzeba zrozumieć, że zmianie uległy zasady. Zmie-

niła się istota stosunku jednostki do zbiorowości, do tej zasadniczej zmiany przystosować należy nietylko kilka paragrafów prawa ale całą organizację życia zbiorowego.

Trzeba widzieć istniejące już w układzie sił społecznych *nowe państwo* i trzeba mu dać żywą formę.

Trzeba opanować wir powszechnego zamętu; trzeba z niego tworzyć historję.

Takie jest zadanie żywego pokolenia.

REFLEKSJE USTROJOWE

Wydarzenia świata zewnętrznego wywołują w każdym człowieku refleksje odmienne, zależnie od tego, jakie są własne zainteresowania obserwatora. Polityk albo kupiec, historyk albo artysta, każdy ma swój własny punkt widzenia, każdy czego innego szuka i w inny sposób analizuje wypadki.

Ponieważ los chciał mi narzucić obowiązek specjalizowania się w zagadnieniach ustrojowych, siłą zatem tego nakazu muszę oceniać wszelkie wydarzenia, o których się dowiaduję, które dzieją się dokoła mnie, pod względem ich stosunku do form i składników organizacji życia zbiorowego. Nie mogę powiedzieć, ażeby ten sposób rozważania wypadków nie był ciekawy, przeciwnie, im bardziej systematycznie zestawiać obserwacje według tych probierzy ustrojowych, tem bardziej plastyczny i fascynujący jakąś dziwną konsekwencją wewnętrzną obraz przykuwa nieodparcie naszą uwagę.

Wkońcu można dojść do zapamiętania, można łączyć z zagadnieniami ustrojowemi rzeczy, które dla postronnego obserwatora nie mają z niemi nic wspólnego, można stać się manjakiem, dać się powodować zewnętrznemi zbieżnościami, pozorami albo wprost przypadkowością, pozbawioną głębszego znaczenia. Ale koniec końców któż wie, gdzie jest właściwy klucz od najbardziej skomplikowanych zamków rzeczywistości; może właśnie leży on gdzieś w najmniej oczekiwanym, najbardziej pospolitym i zewnętrznym zbiegu wydarzeń.

Od pewnego czasu niepokoi mnie w sposób natarczywy myśl o wypadkach genewskich. Tłum szwajcarski pod wpływem przywódców socjalistycznych i komunistycznych, — jak to przynajmniej wynika z dziennikarskich informacyj — doprowadził do krwawego starcia z wojskiem. Wojsko szwajcarskie, — t. j. ten sam tłum, część tego samego tłumu rozkazem mobilizacyjnym ubrana na kilka dni w mundury i oderwana od codziennych zajęć zawodowych, — strzelało do tłumu manifestantów.

O co im poszło? Podobno o to, że do rady municypalnej Genewy weszło paru socjalistów, podobno wywołał ten fakt protesty, podobno przeciw tym protestom podniosła się manifestacja tłumów i t. d.

Nie chce mi się wierzyć w to, aby przyczyny nie leżały głębiej. Bo przecież był jakiś powód, że socjalistów wybrano, w jakiś sposób zachęcono wyborców

do głosowania na nich, jakiś związek istniał pomiędzy nastrojami wyborców, a manifestacjami tłumu, a wreszcie: skąd takie wysokie napięcie antagonizmu, prowadzące aż do rozlewu krwi pomiędzy wolnymi obywatelami najdoskonalszej z republik demokratycznych Europy?

I mimowoli przypomina mi się wiadomość jaką wyczytałem w gazetach szwajcarskich przed rokiem, że członkowie socjalistyczni rady federalnej wnoszą o zmianę konstytucji szwajcarskiej. Czegożby miała dotyczyć ta zmiana? Obywatele szwajcarscy, których o to pytałem nie mogli czy nie chcieli mnie dokładnie poinformować o szczegółach projektowanej reformy, wiem tylko, że wchodziły tam w grę dążenia do ustrojowego zabezpieczenia postulatów społecznych socjalistów, opierających się na robotniczej ludności miast przeciwko indywidualistycznym tradycjom rolników i górali.

Wniosek uważano naogół za niedojrzały i nierealny. Nie miałem wtedy czasu ani możności badania sprawy do gruntu. Ale kiedy czytam dziś o wypadkach w Genewie, to mi się kojarzą wydarzenia w pewien obraz.

Oto Genewa. Republika wzorowa, z której przed półtora wiekiem mniej więcej spłynęło na Europę światło mądrości w dziedzinie ustroju życia publicznego. Wielki nauczyciel, Jan Jakób Rousseau, mędrzec genewski, dyktował prawa ustrojowe światu na długie pokolenia. Dziś jeszcze jesteśmy pełni jego

twierdzeń, bez zastanowienia automatycznie przyjmujemy je za przesłanki naszych rozumowań, tak samo jak przyjmujemy prawdy fizyczne lub matematyczne. Dwa razy dwa — jest cztery; suma kątów trójkąta równa się dwóm prostym; człowiek urodził się wolny i t. p.

Oto Genewa, która, zarówno przez swój ustrój własny, jak przez wpływ, jaki wywarła, dając światu naukę Rousseau, może być uważana za wzór i symbol państwa liberalno-indywidualistycznego, państwa w którem swobody obywatelskie łączą się z dobrobytem ekonomicznym, a obie te sfery powodzenia zbudowane są na zasadzie indywidualizmu, liberalizmu, gwarancyj negatywnych ze strony państwa, którego zadaniem jest nie przeszkadzać obywatelom i strzec ich praw przyrodzonych przeciwko nadużyciom, pokrzywdzeniom i ograniczeniom, nieobjętym umową społeczną.

Dlaczegóż tam ludzie się mordują na ulicach, — czyżby to państwo wzorowe nie mogło zadość uczynić swoim zadaniom, czy też może obywatele tego państwa występują do niego z żądaniami, którym ono zadość uczynić nie może, do których nie jest przystosowane?

I kiedy tak zastanawiam się nad tem, jaka jest różnica pomiędzy żądaniami, które stawia obywatel dzisiejszy państwu swojemu, a temi, które za punkt wyjścia obierała nauka indywidualizmu z przed wieku,—

przypadkiem biorę w rękę uchwały rolników polskich, któremi zakończono t. zw. tydzień rolniczy.

Odczytuję te kilkanaście postulatów raz i drugi i jeszcze, przecieram oczy i czytam znowu. Czy to piszą socjaliści? — o nie! To rolnicy, od wieków sobiepańscy, indywidualiści z urodzenia i zawodu. Ich postulaty w stosunku do państwa powinny być ściśle indywidualistyczne; zapewne będą oni domagali się ażeby państwo nie wtrącało się do ich spraw, ażeby ograniczyło się do negatywnych gwarancyj według programu wielkiego genewczyka. — O, nie! Bezmała wszystkie postulaty rolników domagają się interwencji państwa, w dziedzinie kredytu, w zakresie organizacji produkcji, regulacji cen, ustawowego przymusu używania produktów rolnych i t. p.

Cóżby na to powiedział indywidualista! Jak można nakazywać komuś ustawowo, aby używał mieszanek spirytusowych, czyżbyśmy wracali do średniowiecza, kiedy przepisywano, kto jak ma się ubierać?

Tak jest, wymagania, które się stawia dzisiaj państwu są zupełnie inne, aniżeli te, dla których ono miało być utworzone w myśl zasad indywidualizmu XVIII wieku. Może nawet zbyt wiele się od państwa żąda. To tylko pewna, że nie wystarczą tu gwarancje negatywne, że obywatel wymaga od organizacji państwowej pozytywnych świadczeń; i to pewna także, że państwo nowoczesne musi spełniać nowe skomplikowane zadania.

A czy wobec tego nie zachodzi potrzeba przystosowania do tych zadań organizacji państwa? Zdaje się, że tak.

A więc zagadnienie reformy ustroju, przystosowania nowego państwa do nowych zadań społecznych narzuca się w sposób stanowczy i jaskrawy.

Jak to uczynić? — Do tego pytania trzeba będzie powracać jeszcze niejednokrotnie.

CZTERY „P“ I JEDNO „S“

Przy poprzednich wyborach prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Hoover otrzymał około 21.000.000 głosów, Smith około 15.000.000. — Przy wyborach obecnych stosunki się odwróciły, kandydujący powtórnie Hoover otrzymał tylko około 15.000.000 głosów, jego przeciwnik Roosevelt około 21.000.000 i został wybrany.

Walka toczyła się między partjami — Hoover był kandydatem republikanów, Roosevelt, podobnie jak poprzednio Smith, — kandydatem demokratów.

Pomiędzy wyborami poprzedniemi, a obecnemi odbyły się w międzyczasie rozmaite wybory częściowe, uzupełniające do Kongresu, wybory do innych organów państwowych, które, jak wiadomo, w Ameryce pochodzą przeważnie z wyborów. Zwycięstwo demokratów zaznaczało się już wszędzie. W szczególności zmieniony skład Kongresu, z którym prezydent musi stale mieć do czynienia, miał już większość demokratyczną.

Ale wynik wyborów nie zależy od przynależności partyjnej wyborców. Wyborcy w masie do żadnej partji nie należą, organizacje partyjne obejmują tylko pewne grupy ściślejsze kandydatów na stanowiska, agitatorów i t. p. aktywnych jednostek, czyniących sobie mniej lub więcej zdecydowanie zawód z udziału w życiu politycznem, uprawiających „business" polityczny, równie dobrze, jak inni uprawiają „business" innego rodzaju.

O decyzji wyborców zadecydowały czynniki pozapartyjne. Powszechnie głoszono, że na wynik wyborów Hoovera wpłynęły „trzy P", a mianowicie: sprawa „Pomyślności ekonomicznej", jaką zdobyły Stany Zjednoczone w ciągu poprzednich lat i spodziewały się utrzymać raczej przy udziale Hoovera; — sprawa „Prohibicji", której zwolennikiem był Hoover, wreszcie sprawa „Przesądów", a raczej tradycyj staroamerykańskich i protestanckich, nie mogących się pogodzić z oddaniem stanowiska prezydenta katolikowi i irlandczykowi z pochodzenia, niedawno naturalizowanemu w Ameryce, jakim był przeciwkandydat Hoovera — Smith.

Oczywista rzecz, że wszystkie te okoliczności wyzyskiwane były przez partje walczące o głosy w namiętnej agitacji wyborczej, nie przebierającej w środkach reklamy politycznej, w imię powodzenia swego politycznego „business'u".

Nazajutrz po wyborach rozpocząć się musiały przygotowania do odegrania się za cztery lata. Były one tem łatwiejsze, że pierwsze z trzech „P", pomyślność ekonomiczna załamywała się w sposób niebywały, doprowadzając do katastrofy gospodarczej. Pomyślność (prosperity) przestała być faktem, ale nie przestała być ideałem, pozostała ona w arsenale haseł wyborczych w zmienionej postaci ideału i musiała być przesłonięta bardziej aktualnemi hasłami pomocy dla bezrobotnych i t. p.

Prohibicja była systematycznie podważana w samej swej istocie w ciągu ubiegłych czterech lat. Olbrzymia literatura przedstawiająca rozprzężenie moralne, jako skutek prohibicji, pamiętniki prawdziwych czy zmyślonych gangsterów, miała za zadanie podważyć w masach pozytywny ich stosunek do prohibicji. Zagadnienie to samo przez się warte byłoby obszernych rozważań; w walce wyborczej zarówno jedna jak druga strona kierowała się przedewszystkiem wyrachowaniem na zdobycie głosów i korzyści, jakie można osiągnąć na tajnej czy też jawnej fabrykacji i sprzedaży alkoholu.

„Przesądy" amerykańskie pozostały zapewne w zasadzie te same — Roosevelt nie jest już nowicjuszem w Ameryce, już nazwisko to ma tradycje w Białym domu. Jednakże nie ulega wątpliwości, że wraz z demokratami zwiększa swoje wpływy ludność napływo-

wa, Amerykanie świeżej daty, a, co zatem idzie, — skraca się odległość polityczna pomiędzy Ameryką a Europą.

W ciągu tych lat czterech zagadnienie wyborów amerykańskich skomplikowało się, już słynne „trzy P" nie wystarczają, przybywają inne litery, a treść każdej z nich obejmuje szeroką grupę zagadnień.

Nadewszystko jednak w okresie poprzedzającym wybory, i w samym okresie wyborczym wysunęła się na czoło sprawa czwartego „P" — pracy, albo raczej jej braku. Bezrobotni decydowali o wyniku wyborów, oni też będą decydowali o całym szeregu innych spraw pierwszorzędnego znaczenia dla życia Ameryki i Europy. O nich zabiegają partje, jednostki, organizacje. Im się kadzi, ich się zdobywa hasłami ad hoc tworzonemi, o prawie do pracy i t. p. Ale nietylko o samą pracę tu chodzi, — chodzi jeszcze o lekceważone dotąd czynniki społeczne.

Jedno z pism warszawskich trudniących się zawodowo zagadnieniami robotniczemi podało swoim czytelnikom fotografję z manifestacji bezrobotnych w Ameryce, na której widnieje transparent z hasłem, (fałszywie zresztą w tem piśmie przetłómaczonem), hasłem naczelnem tych manifestacyj. Hasło to brzmi mniej więcej: „nie chcemy miłosierdzia, żądamy solidarności" — (solidarity). Jak to rozumieć? Trzeba pamiętać, że Ameryka nie zna społecznych instytucyj europejskich, zabezpieczających robotnika na wypa-

dek choroby, bezrobocia i t. p. Wszystkie te sprawy są tam terenem inicjatywy prywatnej, częściowo pozostają w rękach przedsiębiorstw, to znów dają pole praktykom dobroczynnych osób i zrzeszeń. Ani organizacja społeczna, ani tembardziej państwo nie daje robotnikowi żadnych stałych form zabezpieczenia. Wszystko zależy od dobrej woli filantropów, od ich czułego serca i kaprysu. A bezrobocie, a inne niedole życia robotniczego są stałe, prowadzą już w Europie do tworzenia stałych organizacyjnych form pomocy, opartej na zasadach solidarności interesu społecznego.

I oto ta właśnie myśl, ta potrzeba solidarności społecznej jako elementu organizacyjnego w życiu państwa i społeczeństwa zaczyna przenikać do Ameryki przez bezrobotnych. Zapewne nietylko tą drogą idee społecznej pomocy wzajemnej zdobywają Amerykę, która była dotąd terenem indywidualnego współzawodnictwa najsilniejszych jednostek, ale może właśnie niepowodzenie „pomyślności" na zasadach skrajnego indywidualizmu opartej wysuwają ze szczególną siłą hasło przeciwstawne, nadają mu szczególną aktualność.

Sprawa nie stanęła jeszcze na ostrzu noża, a może tylko nie widać tego ostrza przez ocean. Hasła nie zostały jeszcze sformułowane w konkretne, możliwe do natychmiastowej realizacji kształty organizacyjne. Ale faktem niewątpliwym jest, że zwycięstwo demo-

kratów w Kongresie (314 demokratów przeciwko 116 republikanom), że zwycięstwo Roosevelta nad Hooverem — poza całą przypadkowością zmiennych czynników chwili — jest także skutkiem przenikającej z Europy koncepcji społecznych elementów w organizacji życia zbiorowego. Do trzech, czy czterech nawet „P", dołącza się nowa litera alfabetu, litera, od której zaczyna się wyraz „solidarność" i „społeczność".

Dzisiaj głosujące za Rooseveltem i demokratami masy bezrobotnych już narzucają dyrektywy na jutro: „nie chcemy łaski, chcemy solidarności". I kierownicy państwa, prezydent i senat i kongres amerykański będą musieli nietylko zastanawiać się nad sprawą prohibicji i piwa, pomyślności i przesądów, ale także nad sprawą nowych zadań, od których dotąd organizacja państwowa Stanów Zjednoczonych uchylała się planowo — zadań służby społecznej, zadań, narzuconych przez wymogi solidarności społecznej.

Przed Ameryką stanie to samo zagadnienie, które wstrząsa Europą, zagadnienie ustrojowe — zagadnienie społecznej roli państwa.

„WYBIEGI JUŻ NIE WYSTARCZĄ"

Można powiedzieć, że cały świat przeżywa okres przełamywania niewygodnych form ustrojowych. Zdawało się, że Francja radzi sobie jeszcze dość dobrze. Figurowała ona wciąż jako przykład zwycięskiego klasycznego liberalizmu, przeciw nieopatrznym albo wręcz szaleńczym próbom dookoła.

A tymczasem...

Czterdzieści już lat wychodzi pismo francuskie p. n. „Przegląd polityczny i parlamentarny". Czterdzieści lat, to wielki kawał czasu, to okres, w którym człowiek często zakańcza parabolę swojego życia publicznego, to okres, w którym więcej niż jedno pokolenie ludzkie musiało wypowiedzieć swoje ważkie słowo, to okres, w ciągu którego instytucje przechodzą próbę trwałości.

Ileż w ciągu tego czasu powstało parlamentów, ile razy głosował lud, ile razy powstawały i upadały parlamentarne rządy, ile zapowiedziano programów poli-

tycznych, programowych mów, złożono projektów, ile wreszcie rzeczy się stało w parlamencie i poza parlamentem, w życiu ludzkości i w życiu państw, któremi miesięcznik polityczny i parlamentarny zajmował się stałe i głęboko.

To też, kiedy otwieram taki zeszyt, czuję jakby mię ogarniała atmosfera dojrzałej, świadomej siebie prawdy życia publicznego. Tu zatrzymało mi się pióro. Czy nie zawiele? Któż zna prawdę, któż powiedzieć może bez wątpliwości o prawdzie? Powiedzmy więc ostrożniej: atmosfera dojrzałego doświadczenia, które wnikliwemi oczyma patrzało na blaski i nędze życia politycznego i parlamentarnego.

To co się tu przytacza, to nie jest słowo—dym, który się rozwiewa bez śladu, to jest to słowo — ogień, na którym się warzy bigos rzeczywistości życia publicznego.

Potrzebny mi był ten wstęp, żeby uwypuklić treść zdań, które zacytuję w całości, a które wyczytałem w zeszycie 457-ym sędziwego miesięcznika francuskiego, stałego od lat czterdziestu towarzysza wczasów parlamentarnych posłów i senatorów we Francji i we wszystkich parlamentach świata.

„Trzeba spełnić nareszcie, natychmiast, pod karą śmierci, dzieło odkładane oddawna. Trzeba przebudować państwo, przystosowując je do warunków społecznych, politycznych i finansowych powojennych. Dotąd wystarczały wybiegi. Wybiegi już więcej nie

wystarczą, każda minuta zbliża nas do katastrofy; parlamentarzyści zaczynają już to przeczuwać, a wkrótce i opinja publiczna zda sobie z tego sprawę".

Dojrzałą atmosferę czterdziestoletniego doświadczenia szanownego miesięcznika mącą groźne wyrazy: „przebudować państwo", „pod grozą śmierci", „wybiegi nie wystarczą" „zbliża się katastrofa"...

Tego nie pisze teoretyk, któryby sobie coś wykombinował, ani polityk demagogiczny, wołający do wyborców, — to jest kronika parlamentarna dla parlamentarzystów przeznaczona, niejako rozmowa między sobą, rozmowa potoczna, codzienna, realna. Pomiędzy obaleniem rządu Herriota, a obaleniem rządu Paul-Boncoura i przed spodziewanem niedługo obaleniem rządu Daladier'a.

Zapewne groźnych zwrotów cytowanej rozmowy nie należy brać jeszcze literalnie. Ani autor, ani jego czytelnicy nie wiedzą dokładnie, na czem ma polegać „przebudowa państwa". — Już ją jednak czują, czują, że się zbliża; a skoro w środowisku parlamentarnem jest już to wyczucie, nie można go lekceważyć.

Przebudować państwo — ale jak? Wizja państwa przebudowanego jeszcze się nie zarysowuje przed oczami polityków francuskich. — Ale czy te — bezcelowe wkońcu — uporczywe rozmowy, jakie Paul-Boncour prowadził z syndykatami i związkami różnego rodzaju, rozmowy budzące niebezpieczeństwo „państwa w państwie", czy te głosy o konieczności zarzą-

dzenia nowych wyborów, przedterminowego rozwiązania parlamentu, niebywałego we Francji od czasów Mac Mahona, a o czem ciągle dziś piszą dzienniki, — czy odgłosy już bardziej skrystalizowane, a zapowiadające konieczność zmian konstytucyjnych, czy to wszystko razem nie stanowi chóru dość zgodnego na melodję „przebudowy państwa".

Ustawy konstytucyjne francuskie 1875 roku stały się punktem wyjścia dla politycznej rzeczywistości dzisiejszej Francji, życie wypełniło formuły tych ustaw różnoraką treścią, stosując rozmaitego rodzaju „wybiegi". A gdybyśmy dzisiaj zapytali tej rzeczywistości, czy jest ona realizacją założeń konstytucyjnych 1875 roku, odpowiedziałaby nam ze zdziwieniem, — „ależ — nie, oczywiście — nie".

Płyną obok siebie dwa prądy, dwa strumienie, dwie rzeki, — jedna coraz bardziej zamulona i wysychająca rzeka oficjalnych formuł politycznego pozoru, — druga coraz silniejsza, wzbierająca, niespokojnie szarpiąca brzegi, — rzeka społecznej rzeczywistości.

Na tej pierwszej kołysze się jeszcze, — jak to się poetycznie mówi, — „nawa" państwowa, płynie i osiada na coraz gęstszych mieliznach; jak to długo jeszcze potrwa? Przecież oczy wszystkich już nudzą się oglądaniem wydm i mielizn, już zaczyna się budzić świadomość, że „nawę" trzeba jakoś przeprowadzić na tamte pełne i bogate, choć może niebezpieczne wody wielkiej rzeki.

„Przebudować państwo" — to znaczy poprostu przystosować je do nowych zadań życia społecznego, uczynić zeń aparat możliwie sprawny i podatny do służenia zbiorowej potrzebie, to znaczy związać jednostkę z państwem, odrzucić sakramentalne obumarłe formułki, przezwyciężyć fikcję bierności i negatywnej roli państwa, dać mu możność spełniania pozytywnych zadań, tchnąć w jego formy organizacyjne tego ducha twórczości społecznej, którego się dotąd skrzętnie tłumiło w imię rzekomo wyższych zasad indywidualizmu.

To zresztą zagadnienie osobne. Dziś wystarczy mi stwierdzenie, że w politycznej świadomości Francji problemat przebudowy państwa jest już aktualny. Że Francja, w swoich formach konstytucyjnych najbardziej konserwatywna Francja, ulega temu samemu niepokojowi ustrojowemu, który ogarnął całą Europę.

RZESZA CZY KŁĘBOWISKO?

Weimar — „niebardzo podłe" miasto w Niemczech, stolica ongi wielkiego księstwa Sachsen-Weimer-Eisenach, w historji Niemiec i świata całego ma swoje karty. Zawdzięcza je łasce idącej z zewnątrz. Pierwszy raz u schyłku XVIII stulecia zamieszkał w Wejmarze minister Wielkiego Księcia, a razem największy poeta Niemiec — Goethe; drugi raz w roku 1919 zjechali do Wejmaru ojcowie Republiki niemieckiej, aby tam uchwalić nową konstytucję Rzeszy.

Mądre oczy wielkiego poety, głębokiego filozofa i dostojnego męża stanu, patrzyły na tę pracę i zdawały się przypominać własne słowa, napisane przed stu laty, a będące owocem długich doświadczeń i przemyśleń bogatego żywota: „Ludzkie sprawy co lat pięćdziesiąt mają inne oblicze, tak ustrój, który w roku 1800 był doskonałością, już w roku 1850 będzie może kalectwem".

Od czasów Goethego tempo życia stało się znacznie

szybsze. Ale mężowie nowych Niemiec, zgromadzeni w dwa półwiecza potem, zasiedli przy stołach radzieckich, aby wyradzić i wytworzyć ustrój doskonały. Byli wszak mądrzy doświadczeniem stu kilkudziesięciu lat konstytucjonalizmu, nauczyli się rozważać, krytykować, komentować konstytucje obce i własne, mieli ostatnio olbrzymie i bogate doświadczenie wielkiej wojny, w której wyszły na jaw zaniedbywane dotąd wartości społeczne.

Cień Goethego mówił im: „Jeżeli rzeczywista potrzeba wielkiej reformy w narodzie się objawi, to Bóg jest z nim, i reforma się udaje".

Mężowie niemieccy wierzyli, że natenczas, tak samo zresztą, jak gdy zaczynali wojnę, Bóg był z nimi; Bóg jednak opuścił ich w boju, kiedy niekierowani rzeczywistą potrzebą sięgali po cudzą ojcowiznę, ale — przecież — da im swoją pomoc niezawodną, kiedy, ciężko doświadczeni i kierowani mądrością wieku, podejmą dzieło dojrzałej reformy w imię rzeczywistej potrzeby krwawiącego od klęsk narodu...

Cały świat przyglądał się ciekawie tej pracy. Praca to była, mająca rozpocząć erę wyzwolenia wartości pozytywnych narodu niemieckiego. Może nie bez tajemnej głębszej przyczyny stało się, że właśnie w atmosferze, przesyconej mądrością Goethego, poczynać się miał ten nowy kształt ustrojowy.

I Niemcy dumni byli ze swego dzieła konstytucyjnego, rzucili w niem szereg myśli, opartych na nauce

prawa, na doświadczeniu społecznem, na przesłankach metafizycznych teoryj; szereg koncepcyj, nad któremi się zastanawiały i z których czerpały przykład inne narody. Nowe Niemcy, demokratyczna republikańska Rzesza z tendencjami ku sprawiedliwości społecznej miała zarysować swoje szlachetne oblicze w Wejmarze.

A tymczasem... Już w roku 1922, w trzy zaledwie lata po uchwaleniu konstytucji ukazuje się obszerna praca Leo Witmayer'a poświęcona jej analizie. Autor chciałby traktować to młode jeszcze dzieło możliwie najbardziej życzliwie i bezstronnie, lęka się przedwczesnego sądu zbyt bezwzględnej krytyki, nie może się jednak powstrzymać od zwrócenia uwagi na „głęboki rozdźwięk pomiędzy prawniczem sformułowaniem a politycznem zastosowaniem" postanowień konstytucji, będącej „płynnym agregatem", ani od podkreślenia „problematycznego charakteru wielu wejmarskich ustanowień".

Inny uczony niemiecki profesor R. Smend w roku 1927 pisząc o Konstytucji Wejmarskiej daleki jest od jakiegokolwiek entuzjazmu — „To było dzieło teorji— pisze o niej — zapatrzenie w teorję zgubiło najważniejszą dla każdej koncepcji ustrojowej myśl o „integracji" społecznej. Pod tym względem lepsza była już konstytucja Bismarckowska, ona bowiem bardziej przyczyniała się do tworzenia jedności państwowej, do zespolenia społeczności w państwie niż to czyni

Konstytucja Wejmarska, poświęcająca dla teoretycznej koncepcji rzeczywistość i jej zadania". Tak mniej więcej osądza krytycznie dzieło wejmarskie nowa nauka niemiecka.

Konstytucja Wejmarska pomimo takiego krytycznego osądu jeszcze trwa. Czy jednak można powiedzieć, że trwanie jej odpowiada założeniom i ideałom jej twórców.

Jakże bowiem wygląda rzeczywistość niemiecka, jakie można w niej spostrzec doświadczenia i wskazania ustrojowe? — Weźmy przykłady ostatniego roku:

Prezydent Hindenburg odmawia podpisu na dekrecie przedstawionym mu przez kanclerza Brüninga — działo się to 29 maja 1932. Kanclerz podaje się do dymisji wraz z rządem, 4 czerwca Reichstag jest rozwiązany, ponieważ następca Brüninga v. Papen nie zdołał utworzyć koalicyjnej większości w parlamencie. 12 września nowy parlament jest rozwiązany, ponieważ znowu Rząd nie miał większości, przyczem wynika spór konstytucyjny co do chwili rozwiązania, wreszcie w lutym 1933 Reichstag jest rozwiązany, raz jeszcze agitacja wyborcza zaczyna się na nowo. U steru rządu jest znowu v. Pappen, który już dwa razy wybory przeprowadzał, ma do pomocy jednak Hitlera, jako kanclerza i jego organizacje szturmowe.

Jeżeli przypomnimy, że dwukrotne wybory prezydenta Rzeszy odbywały się także wiosną 1932, to ma

my obraz nieustannej agitacji wyborczej, nieustannego kotłowania wyborczego wypełniającego cały rok od wiosny 1932 do wiosny 1933.

A jak się odbywają wybory w Niemczech — to wiemy z codziennych sprawozdań: na długo przed dniem wyborów i w sam dzień i długo potem leje się krew zacietrzewionych przeciwników partyjnych, policji, organizacyj bojowych, przypadkowych ofiar. Rozpętana agitacja zamracza jakikolwiek krytycyzm. Hasło, które z bezprzykładnym cynizmem formułuje Paul Harms w książce „das Ich und der Staat": „zdrowy naród czuje się dobrze tylko mając świadomość, że nie potrzebuje żadnej miłości a zrośnięty jest z każdą nienawiścią". Ponieważ nienawiść jest właśnie siłą największą, hasło to rozmienione na drobne, przybrane w obsłonki albo i bez obsłonek panuje nad zalanem kwią szamotaniem się wyborczem.

„Trudno znaleźć coś bardziej obrzydliwego i niemoralnego jak tworzenie ministerjów w parlamencie francuskim" — pisał znów inny Niemiec (Finger), ale czy tworzenie rządów na gruncie Konstytucji Wejmarskiej daje obraz o wiele czystszy, podnioślejszy i bardziej budujący?

W momencie krytycznym kiedy Rzesza pod względem ekonomicznym znalazła się w szczególnie trudnem położeniu, trzeba było uciec się do formuł art. 48 Konstytucji Wejmarskiej, artykułu, który ni mniej ni

więcej tylko zawieszał w próżni całą konstytucję stanowiąc, że Prezydent ma prawo „przedsięwziąć środki niezbędne do przywrócenia" zagrożonego bezpieczeństwa i porządku publicznego w państwie. Toczono dyskusje zasadnicze na temat czy formuła ta pozwala wydawać także dekrety z mocą ustaw, uchylające ustawy — uznano, że tak.

I gdybyśmy dzisiaj zatrzymali na chwilę tę taśmę kinematograficzną, która obrazuje życie publiczne Niemiec, to zobaczylibyśmy jakiś fantastyczny obraz, obraz rzeczywistości niemieckiej, którego porównanie z formułami Konstytucji Wejmarskiej byłoby wielce pouczające.

Czy rzeczywistość niemiecka jest realizacją koncepcyj ustrojowych wejmarskich? Nawet samo pytanie takie zakrawa na złośliwość.

Tam starano się stworzyć aglomerat liberalno-demokratyczny i społeczno-indywidualistyczny, połączyć w szeregu obok siebie rozbieżne często tendencje, nie dając żadnym wyraźnej przewagi—tu, na tle niezaspokojonych i rozpętanych konieczności i urojeń społecznych, buzują płomienie namiętnych nienawiści. Tam w pogoni za ideałami teoretycznych formuł stracono poczucie koniecznego zespolenia państwowego, „integracji" społecznej w państwie, — tu pozbawione syntetyzującej siły zespolenia państwowego, niekrępowane żadnym rozumem państwowym, rozszalały de-

wagogiczne nienawiści, przekształcając Rzeczę w kłębowisko.

I gdyby zapytać, jaki jest ustrój Niemiec dzisiejszych? — odpowiedź byłaby trudna, jedno jest pewne, że nie znaleźlibyśmy jej w tekstach Konstytucji Wejmarskiej.

„REPUBLIKA DE TRABAJADORES“

Ilekroć myślę o Hiszpanji, nigdy nie mogę rozwikłać przeciwieństwa pomiędzy jasnością południowego, słonecznego krajobrazu, a ponurością historycznych wydarzeń i psychiki ludności tego pięknego kraju.

Tu sroży się najzacieklejszy fanatyzm czarnych mnichów, tu powstaje i dochodzi do legendarnego rozwoju święta Inkwizycja, stąd idą, „auto da fe", tu po dziś dzień zabawą jest walka byków, tu powstają obrazy Goyi, tu ulubionym kolorem stroju jest kolor czarny.

Ta antynomja musi się wydawać dziwną nam ludziom północy, dla których słońce łączy się nieodzownie z jasnością i barwą, z pogodą i radością. Ta antynomja sprawia także, oprócz oczywiście odległości przestrzennej, że tak mało wiemy o Hiszpanji. Tak, zapewne słyszeliśmy: Don Kichot i szarża pod Somo-Sierra, „twierdze Grenady" i Don Juan, Primo de Ri-

vera i abdykacja Alfonsa XIII, płonące kościoły, Kastylja, odebrane stosy bomb i najmłodsza republika w Europie.

O tej właśnie republice, „Republice robotników wszystkich klas", chciałem dziś mówić.

Konstytucja Republiki hiszpańskiej została uchwalona w grudniu 1931 roku. Krótko pracowano nad tekstem tej ustawy, bowiem sama rewolucja, przekształcająca tak mocno zakorzenioną — zdawałoby się — monarchję na republikę, odbyła się w kwietniu tegoż 1931 roku.

Rewolucja to była dość dziwna: Po długiej przerwie zarządzone 12 kwietnia 1931 r. wybory komunalne przyniosły porażkę monarchistów. Król nie czekał już na mające się odbyć w czerwcu wybory do kortezów i nazajutrz po niepomyślnym dla siebie wyniku kwietniowym wyjechał w świat, pozostawiając narodowi odezwę pełną toczonych zwrotów o sympatji narodu, o sumieniu, o niełasce, o nadziei, o błędach królewskich, o patrjotyzmie hiszpańskim, o tem, że się praw nie zrzeka, tylko do czasu, nim się naród nie ustatkuje, woli być na uboczu. Rodzina królewska wyjechała zaraz potem, jeśli nie z honorami, to w każdym razie spokojnie — i zaczęła się republika.

Trudno przypuścić, żeby republikanie spodziewali się takiej rewolucji „w majestacie prawa". Trzeba jednak przyznać, że nie tracili czasu i zabrali się natych-

miast do formalnego i realnego porządkowania państwa.

Pod względem formalnym: Konstytucja hiszpańska jest zbiorem zasad i formuł, zaczerpniętych zewsząd, gdzie tylko można było zaczerpnąć, czasami bez wielkiej troski o wewnętrzne zharmonizowanie. Zdają sobie z tego sprawę sami Hiszpanie. Człowiek, który stanął odrazu na czele Republiki, Zamora, — stwierdzał już przy narodzinach tej konstytucji, że nie należy w niej szukać ani jednolitej myśli, ani nawet kompromisu, ale jedynie przypadkowego wyniku uchwał zmiennej większości, kierowanych: „umiłowaniem prawdy, czułą wrażliwością, wzmożonem poczuciem demokratycznem i rzetelnym patrjotyzmem". Te to wszystkie irracjonalne czynniki kazały Hiszpanom ułożyć dość przypadkową mozajkę postanowień, ciekawych zapewne, ale jak dalece praktycznych — trudno sądzić.

Istnieje już sporo książek poświęconych tej konstytucji, w literaturze polskiej mamy opracowanie A. Millera w czasopiśmie „Nowe Państwo"; wszyscy zgodnie mówią o tej eklektyczności i przypadkowości postanowień ustrojowych hiszpańskich.

To co się rzuca w oczy przedewszystkiem, to bardzo daleko posunięty liberalizm demokratyczny z jednej strony, przy pewnej frazeologji socjalistycznej i kolektywistycznej — z drugiej. Tu negatywne gwarancje praw człowieka i obywatela zostały powtórzone pra-

wie dosłownie za dawną deklaracją francuską, a zaraz obok powiedzano, że „bogactwo narodowe bez względu na osobę właściciela podporządkowane jest interesom gospodarstwa narodowego", albo, że „funkcjonarjusze cywilni mogą się łączyć w związki zawodowe". Podobne sprzeczności występują w stosunku władz; przyjęto za podstawę ustrój parlamentarny, ale wzajemny stosunek rządu i parlamentu poddano rozmaitym formalnym ograniczeniom, uznano nieodpowiedzialność Prezydenta Republiki, ale poddano kontroli parlamentu niektóre jego zarządzenia i t. p.

Ale to, co mię interesuje w tej chwili, to nie jest analiza ciekawych skądinąd postanowień konstytucji hiszpańskiej, tylko rzeczywisty stan prawny w „Republice robotników wszystkich klas".

Jeżeli przewrót kwietniowy 1931 roku odbył się spokojnie i bez pospolitych walk rewolucyjnych, to nie znaczy, aby walki te nie rozpoczęły się nazajutrz. Krótki okres trwania Republiki bogaty jest w walki toczone na kilku frontach, przeciwko niebardzo udolnym próbom powrotu do monarchji, przeciwko separatystycznym dążeniom niektórych prowincyj, przeciwko związkom zawodowym komunistycznym czy anarchistycznym. Walki te mają już niewątpliwe cechy walk rewolucyjnych, tylko że nie toczą się one o zdobycie ale o utrzymanie Republiki.

I oto zapewne w tym fakcie tkwi przyczyna, że konstytucja 1931 roku jest w znacznym stopniu tylko teo-

retycznym elaboratem, a rzeczywistem źródłem prawa publicznego jest dotąd nieuchylona, mimo swej sprzeczności z konstytucją, „ustawa o ochronie Republiki". Ustawa ta jest nawskroś rewolucyjna, nie robi sobie nic z gwarancyj osobistych, pozwala na ograniczenia wolności osobistej i wolności słowa, na zamykanie tych związków, których wolność gwarantuje konstytucja, na zaniedbywanie wyraźnych jej nakazów.

Liberałowie i demokraci hiszpańscy są zatroskani. — Pocóż było pisać, że konstytucja nie pozwala na konfiskatę mienia, jeżeli uczestnikom rewolty monarchistycznej zabrano majątki bez odszkodowania na rzecz reformy rolnej, — czyż to nie jest to samo? Pocóż było pisać, że każdy Hiszpan ma prawo do urzędów, jeżeli rząd obsadza urzędy tylko swymi zaufanymi, tymi, których prześladowano za monarchji? Poco było zapowiadać tworzenie trybunału gwarancyj konstytucyjnych, jeżeli o jego realizacji wcale się nie myśli? i t. d. Cały długi szereg rekryminacyj pod adresem rządu i rządzących grup w Hiszpanji, które wprawdzie uchwaliły konstytucję, ale rządzą tak, jakby jej nie było, jakby wciąż trwała dyktatura odwrócona. Ale razem ci sami liberałowie i republikanie przyznają, że w krytycznych chwilach republiki rząd wykazuje dowody „zimnej krwi, przezorności niezbędnej do stłumienia rozruchów i utrzymania porządku w państwie". I stwierdzają jeszcze, że gdyby pewnego

dnia Republika w Hiszpanji upadła, to na jej miejsce nie powróciłby rząd królewski, wszelkie wskazania kazałyby przewidywać nadejście zamętu i anarchji.

Nie znam Hiszpanji, nie znam wartości ludu hiszpańskiego, w którego psychice, odbitej w jego historji uderzają mię niepojęte kontrasty; daleko od tego słonecznego i ponurego kraju staram się wyrozumieć sens słów, zawartych w tekście ustawy ustrojowej i sprawozdań, obrazujących życie. Na tym niedoskonałym materjale nie mogę budować wniosków, mogę jednak opierać zainteresowanie, mogę stawiać pytania. Czy rzeczywistość życia publicznego Hiszpanji jest odpowiednikiem jej ustawy ustrojowej? Zdawałoby się, że nie; zdawałoby się, że zasada tej ustawy tylko dlatego może być utrzymana, że rzeczywistość nie poddaje się w pełni jej eklektycznym formułom. Dochodzimy do paradoksu.

Może wyjaśnienie tego paradoksu tkwi w fakcie toczącej się jeszcze rewolucyjnej walki o Republikę, a może także w szerszym i powszechniejszym procesie przeobrażania się podstawowej treści prawd życia społecznego, stosunku obywatela do Rzeczypospolitej, zasad porządku prawnego i t. p.

Rzeczywistość i formuła ustrojowa dojdą zapewne w Hiszpanji do zharmonizowania, tak samo zresztą stać się powinno wszędzie, ale w jakiem miejscu nastąpi to zharmonizowanie, w jakim stopniu rzeczywistość

nagnie się do formuły, a formuła podda się rzeczywistości, jakim kosztem zostanie to dokonane? — to są pytania pierwszorzędnej doniosłości nietylko dla młodej i dziwnej Republiki hiszpańskiej, ale dla wszystkich młodych i starych republik i królestw całego świata.

ETYKIETKI

Jednem z zajęć polemiki publicznej jest przylepianie etykietek. Niezawsze się pamięta jaka moc tkwi w symbolicznem znaczeniu etykietki. Jeżeli się ją dobierze celowo, można za jej pomocą przeciwnika, jeśli nie zniszczyć, to zmęczyć, — można mu stworzyć poważne trudności, wielkie przeszkody w rozwoju jego działalności.

Jest to rozrywka zatem z tego punktu widzenia pożyteczna, jest ona również przyjemna, jeśli się udaje, jak przyjemną jest każda gra intelektualna. Jest ona również bardzo stara. Kiedy Chrystusa nazywano urągliwie „królem żydowskim", była to także tego rodzaju polemiczna etykietka, która miała przeciwnika zniszczyć moralnie w nastrojach psychiki społecznej, zohydzić na dziś i nazawsze; — na krzyżu przybito przecież taki urągliwy napis. W tym jednak wypadku, jak wiadomo, cios chybił.

Dzisiaj, po tylu wiekach, niema wielu nowych po-

mysłów w zakresie metod walki o wpływy społeczne. Etykietowanie pozostało jednym ze środków wypróbowanych, często zawodnych, zawsze pociągających.

Jest jeszcze inny powód, dla którego takie poszukiwanie etykiet ma swoich zwolenników. Ułatwia ono i upraszcza uciążliwy dla wielu proces myślenia, sprowadza rzeczy skomplikowane do pojęć prostych, nieznane — do znanych, wymagające wysiłku myślowego — do zautomatyzowanych formułek. Że przytem następuje często bardzo istotne wypaczenie rzeczywistości — któżby o to dbał. Tylko, że potem cały wysiłek okazuje się bezpłodną igraszką, bo to, że ktoś skomplikowane zjawisko, poważny proces społeczny nazwie uproszczoną formułą, włoży do ciasnej szufladki swego ubogiego sekretarzyka intelektualnego, nie może wystarczyć do opanowania tego zjawisku, do zahamowania tego procesu.

Kiedy przedstawiciel frakcji komunistycznej w Sejmie polskim zabiera głos, możemy być pewni, że będzie mówił o faszystowskim rządzie, wysługującym się kapitalistom i — nie zmieniając intonacji, jednym tchem dalej — o faszystowskich socjalistach z drugiej międzynarodówki, współdziałających z tym rządem.

Z początku te etykietki budziły oburzenie na ławach Z. P. P. S., dzisiaj przechodzą bez wrażenia. Jaki mają oddźwięk w masach, dla których są przeznaczone — nie będą tego w tej chwili dociekał.

Kiedy zabiera z tej samej trybuny głos przedstawi-

ciel grupy, która w myśl powyższego nosi nazwę socjal-faszystowskiej, — mówi często o faszystowskim rządzie i t. d. z patosem najwyższego potępienia, zapominając, że sam nosi z lekkiej ręki swego sąsiada z III międzynarodówki przylepioną tę samą etykietkę. Ten patos także już nie robi wrażenia.

Oczywista rzecz, że te etykiety są z punktu widzenia ich rzeczywistej treści zastosowane niewłaściwie, „ni przypiął, ni przyłatał". Ale nie o to przecież chodzi, chodzi o obrzydzenie; etykieciarze nie mogąc znaleźć nic lepszego, pociągnięci kakofonją, którą chcieliby w tym wypadku uważać za środek swojej propagandy, operują określeniem, dobranem jak przypuszczają dla swoich celów szczęśliwie, choć rzeczowo pozbawionem sensu.

Ostatnio przyłatano blokowi państwowemu nową etykietę — solidaryzmu. Nareszcie wiemy: z enuncjacyj ministerjalnych, z oświadczeń programowych wyłania się program bezprogramowej grupy — jest nim solidaryzm. A cóż to jest ten solidaryzm? To ma być rzekomo nowy wymysł burżuazyjny, pułapka kapitalizmu na łatwowierność robotniczą, nowa odmiana „faszyzmu" zapewne, — tak mniej więcej zarysowuje się zagadnienie w oświetleniu publicystyki opozycyjnej.

Wprawdzie hasło solidarności było dotąd przywilejem światopoglądu socjalistycznego. Była to jednak wyłącznie solidarność klasowa, stosunki pomiędzy kla-

sami oparte być mają na nienawiści. Ale ten uproszczony sposób rozwiązywania zagadnień społecznych jak wszystkie nazbyt uproszczone metody nie wystarcza życiu.

Hasło solidarności proletarjuszy wszystkich krajów doznawało i doznaje ciężkich pokrzywdzeń ze strony praktyki wówczas kiedy wchodzi w grę współzawodnictwo. Walka robotnika amerykańskiego przeciwko imigracji taniej siły roboczej była przecież zaprzeczeniem takiego hasła już wtedy, kiedy bezrobocie nie groziło, dzisiaj bezrobocie łączy i dzieli ludzi po swojemu. Współzawodnictwo o rynki zbytu pomiędzy węglem polskim a angielskim wystawiało solidarność klasową górników na ciężką próbę. Interes angielskich przemysłowców i robotników węglowych — poza naturalnym między nimi antagonizmem — miał cechy wspólne — możność zbytu. To samo dotyczy węglarzy polskich.

Modne hasło solidarności robotniczo-chłopskiej byłoby jednem z tych wielu cynicznych zakłamań demagogji, gdyby nie wyższa ponad antagonizmy solidarność społeczna, która ma swoje własne prawa i podstawy.

Truizmem byłoby mówić o przeciwieństwie interesów robotnika i rolnika. Wysokie ceny na zboże to drogi chleb; kiedy produkty rolne miały wyższe ceny przedstawiciele ludności pracującej miast wołali o rygory, zmierzające do ich obniżenia. A przecież niskie

ceny zboża to dotkliwa klęska dla włościaństwa. Rozterka, jaka szarpie społeczność bolszewicką, opiera się na przeciwieństwie chłopa i robotnika.

Ale pod temi przeciwieństwami tkwi istotna solidarność, jako największa żywa siła społeczna, bez niej wogóle jakakolwiek społeczność, jakiekolwiek życie zbiorowe nie byłoby do pomyślenia.

Solidarność społeczna doszła do uświadomienia na gruncie walki pomiędzy pracą a kapitałem, ale nie jest ona i nie może być ani monopolem pracy ani podstępem kapitału. Jest ona czynnikiem wyższym ponad inne elementy historyczne, jest ona trwałym fundamentem społeczeństwa.

Wszystko jedno, jakie to będzie społeczeństwo, jeżeli nie potrafi ono realizować solidarności społecznej, będzie musiało ulec przeobrażeniu, będzie przechodziło kolejne kryzysy ustrojowe, dopóki nie znajdzie potrzebnych form.

Dlatego też chcemy — mając oczy otwarte na prawdę życia — opierać przyszłość państwa na solidarności społecznej, nie klasowej, nie zawodowej, nie nacjonalistycznej, nie partyjnej, — słowem nie takiej, któraby skupiła tylko mniej lub więcej nieliczną grupę do nienawiści i zażartej walki przeciwko innym grupom, ale takiej, która tkwiąc w istocie życia społecznego, łączy ludzi przy pracy dla społeczności.

Dlatego też ta ostatnia etykietka solidarystyczna zasługuje na bliższe rozważenie.

„MOST“ CZY „ZAWADA“

Precz z solidarnością społeczną, niech żyje jedność narodowa; precz z solidarnością społeczną, niech żyje walka klas.

Solidarność społeczna to wymysł masoński, — to wynalazek faszystowski, to program „sanacyjny“... i t. p. — takie twierdzenie znaleźć można bez długich poszukiwań po szpaltach artykułów publicystycznych, literackich, naukowych — wszystko to oczywiście w cudzysłowie.

Bo zważmy — jakaż może być solidarność pomiędzy Polakiem a Żydem? Albo Ukraińcem? Pomiędzy robotnikiem a przedsiębiorcą kapitalistycznym? — to przecież „ogień i woda“, nie, to stokroć gorzej, niż ogień i woda, bo umiejętnie skoordynowane sprzeczne właściwości ognia i wody stwarzają konstruktywną siłę pary, która daje przykład właśnie jakgdyby solidarności w świecie fizycznym. W stosunkach ludzkich — nigdy, za nic; precz z masonami, faszystami, sanacją i solidarnością społeczną.

Delegaci załogowi stalowni X. — (nie wymieniam firmy tej spółki akcyjnej, bo nie chcę robić reklamy, można ją jednak znaleźć łatwo, bo tekst, który zacytuję, mieści się na pierwszej stronie oficjalnego organu P. P. S.) ogłaszają „wezwanie", z którego wynika wyraźna solidarność interesów robotników tej stalowni i S. A. X., która jest jej właścicielem i przedsiębiorcą kapitalistycznym. Z wezwania tego dowiadujemy się m. in., że stalownia jest „wyposażona w najnowsze urządzenia techniczne i może tanio produkować", że „za cały czas istnienia fabryki nie było ani jednego strajku". Firma powyższa wystąpiła z syndykatu polskich odlewni stali. Delegaci załogowi piszą dalej: „apelujemy do odpowiedzialnych czynników, by stanęły w obronie zagrożonego naszego warsztatu pracy, udzielając mu poparcia w postaci zamówień".

No chyba to jasne, że interesy robotników stalowni X. i jej właścicieli zbiegają się w tym wypadku, że pismo socjalistyczne, które odezwę delegatów załogowych, będącą jawną reklamą przedsiębiorstwa, zamieszcza nie jako ogłoszenie, ale jako wezwanie, aprobuje fakt tej solidarności. I nie może być inaczej. Choćby nawet były gorsze stosunki w fabryce, niż to podkreśla cytowane wezwanie, istnienie jej, istnienie tego wspólnego „warsztatu pracy" jest solidarnym interesem robotników i akcjonarjuszy. Czy wszystkich robotników? — oczywiście nie, ale także i nie wszyst-

kich kapitalistów — mowa tylko o tych, którzy są tu bezpośrednio zainteresowani.

Ale przecież nie chodzi o poszczególną fabrykę, chodzi o klasy społeczne, o burżuazję i proletarjat, o przeciwieństwo interesów.

Nikt zapewne dzisiaj już nie zechce zaprzeczać, że takie przeciwieństwo istnieje, jest ono jednak taką samą rzeczywistością jak równolegle istniejąca w innym przekroju solidarność.

Bo, — ale niech tu lepiej mówi za mnie socjolog i radykalny socjalista francuski Bouglé, który pisał na ten temat dawno, bo w r. 1908, co następuje: „Solidaryzm" przypisuje sobie „granitowe podstawy". „Ludzie nie mogą zrobić kroku, powiedzieć słowa, powziąć myśli, ażeby bezpośrednio lub pośrednio nie korzystać z olbrzymiego kapitału intelektualnego i materjalnego, który został nagromadzony pracą ich przodków. Praca współczesnych pomaga do nadania mu wartości. Tak powstaje dług społeczny, rodzący obowiązki".

Tak więc głęboko sięgać ma podstawa, na której rodzi się myśl o solidarności społecznej, jakiż jest praktyczny skutek, jaka treść doktryny, opartej na tych twierdzeniach? Znów niechaj mówi Bouglé: „solidaryzm pragnąłby postawić na miejsce solidarności objektywnej, nieświadomej i niezależnej od człowieka, solidarność subjektywnb — świadomą i umowną".

I oto przeciw tej doktrynie powstają ataki z dwóch stron, dla jednych jest ona „zawadą" na drodze ku socjalizmowi, dla drugich jest ona na tej drodze „mostem".

Niechże więc sobie oburzają się simpliści z obydwóch stron, niech zamykają zmęczone nadmiernym wysiłkiem oczy, niech krzyczą precz z masonami solidarystycznymi, albo precz z solidaryzmem burżuazyjnym — owszem im więcej, tem lepiej — polemika ćwiczy umysły, krzyk rozwija płuca.

A przecież nie może człowiek żyć poza społecznością. A przecież spółczesnego człowieka stwarza społeczność. A przecież społeczność jest bardzo dziwnie splecioną siecią rozmaitych jakże wszechstronnych potrzeb, interesów, dóbr, uczuć, myśli, czynów ludzkich; a wszystko to zaczepia się jedno za drugie, wiąże w konsekwentne nie dające się ominąć sploty i nie pyta o naszą zgodę.

Gdybyśmy mogli patrzeć na społeczność w jakimś przekroju schematycznym, tobyśmy zobaczyli rozmaite rodzaje ugrupowań. Człowiek należy do pewnej klasy, to prawda, ale ma także inne łączące lub różniące go od innych cechy; oto płeć — są sprawy solidaryzujące ze sobą mężczyzn przeciw kobietom i odwrotnie; oto rasa — czy można zaprzeczyć, że istnieje dla murzyna trudna do przekroczenia granica, która go dzieli od białego, że stąd powstawać musi specy-

ficzna solidarność czarna przeciwko białej, że umyślnie wezmę taki przykład zamorski, — tego być nie powinno, zgoda, nie powinno — ale jest. Człowiek nie jest abstrakcją, nie jest abstrakcją jego życie, nie jest formułą społeczność, to wszystko są empiryczne fakty, mające swoje cechy.

O jednym człowieku mówimy — to jest piekarz, Niemiec, protestant, podoficer rezerwy, bramkarz klubu futbolowego, hitlerowiec i t. p. i t. d. — o innym powiemy — to jest rolnik, Polak, katolik, członek straży ogniowej, narciarz, bezpartyjny i t. p., inny będzie Żydem, pachciarzem, kupcem, marynarzem, będzie grał na skrzypcach i tak prawie bez końca. Ale jeśli znajdą się wszyscy i wielu jeszcze innych na tym samym okręcie na morzu, to ich wspólnym solidarnym interesem będzie, ażeby okręt przypadkiem nie spłonął, ale dowiózł ich szczęśliwie do portu. Pozatem będą pod tysiącem względów przeciwstawiali się sobie i łączyli ze sobą.

A ponad tem wszystkiem jest sam byt współczesności, którego istotą jest właśnie solidarność społeczna, ten jedyny cement, jedyna realna więź, która może połączyć tyle antagonizmów różniących ludzi.

Inny uczony Francuz, Duguit, tak mówi o zadaniach państwa: państwo musi „nie robić nic sprzecznego z solidarnością społeczną i współdziałać w miarę możności jej urzeczywistnieniu. A urzeczywistnienie solidarności społecznej, to podnoszenie kultury, to pra-

ca nad postępem cywilizacji, to zarazem realizowanie prawa, bowiem prawo rodzi się z solidarności społecznej".

Jakiż — tedy mógłby być inny lepszy program dla ludzi rządzących państwem czy pracujących dla państwa?

SYNDYKALIZM A PAŃSTWO

Ostatnio mówi się u nas dużo, w dyskusji o zagadnieniach ustrojowych, o syndykaliźmie. Mówi się dużo i uczenie. Ale sprawa nie jest zupełnie prosta.

Mamy bowiem różne formy syndykalizmu na świecie, a bodaj nie mamy jak dotąd żadnej wyraźnej formy syndykalizmu u siebie.

Zacznijmy od Włoch. Tam państwo w ustach faszystowskich swoich apologetów nazywane bywa korporacyjnem albo nawet wprost syndykalistycznem. Znaczyłoby to jakgdyby, że państwo już jest czy też staje się coraz bardziej wyraźnie nadbudową organizacyj zawodowych, związków, korporacyj złączonych wewnętrznie wspólnością interesu zawodowego, a zewnętrznie jednością państwową. W tej formule tkwić ma potęga państwa, które zresztą w ideologji faszystowskiej jest stawiane wysoko.

Biegun przeciwny: Rząd republiki hiszpańskiej, pełnej jeszcze rewolucyjnego ognia, nietylko wyraźnie de-

mokratycznej, ale organizowanej przez socjalistów, głoszącej zaraz w pierwszym artykule swojej konstytucji, że Hiszpanja jest republiką „pracowników wszystkich klas" — rząd tej republiki zamyka związki zawodowe, tamuje ruch syndykalistyczny. Dlaczego? Bo syndykaliści hiszpańscy jawnie czy skrycie łączą się z anarchistami w zamachu na byt nowej republiki. Czegóż chcą? Chcą ustroju syndykalistycznego bez nadbudowy państwowej, rozbijają państwo, nie łączą bynajmniej zasad ruchu zawodowego i organizacji zawodowej z koniecznością potężnej jedności państwa. Są wierni tradycji rewolucyjnego i anarchicznego syndykalizmu z pierwszych lat XX wieku, kiedy to Georges Sorel i inni wojownicy młodego ruchu namiętnie przeciwstawiali syndykalizm państwu.

Włochy zeszły z tej drogi, Hiszpanja na niej trwa.

A oto Francja. We Francji w roku 1906 czy 1907 odbywał się kongres socjalistyczny w Amiens. Na kongresie tym rozegrała się namiętna utarczka pomiędzy socjalistami a syndykalistami. Byli to jeszcze ci syndykaliści rewolucyjni i anarchistyczni jawnie stawiający hasło syndykalizacji ustroju społecznego i walki z państwem. Wśród socjalistów napotkali gorący sprzeciw. I tylko socjalista umiarkowany, jakim był Jaurès doprowadził do ugody. Jego zdaniem należało tolerować ruch syndykalistyczny nawet z jego anarchiczną rewolucyjnością. Może w zetknięciu z życiem stanie się on mniej gwałtowny. Życie tępi ostrza. Zapew-

ne przewidywania Jaurèsa w znacznym stopniu się sprawdziły. Syndykalizm francuski skupiony w Generalnej Konfederacji Pracy nie jest już tem ogniskiem i zarzewiem zniszczenia, za jakie uchodził przed ćwierć wiekiem.

Paul Boncour także socjalista umiarkowany, z pod tego samego znaku reformistycznego, robi dalszy krok na drodze ugodowej Jaurèsa. Chce pogodzić państwo ze związkami zawodowemi. Dziwne stąd wychodzą rzeczy. Prezes rządu konferuje ze związkami urzędników, związki ogłaszają komunikat: — mamy dość, nie będziemy więcej gadali z tym panem; parlamentarne sfery francuskie wzruszają ramionami: prezes rządu poniża się, traci powagę, ośmiesza się niemal w oczach prawowiernej demokracji parlamentarnej, doprowadza do antagonizmu pomiędzy państwem a związkami zawodowemi. Związki te stają się państwem w państwie, do czego to prowadzi? Któż tu ma rządzić?

A związki pracownicze nie godzą się na obniżkę pensyj, a związki kupieckie i przemysłowe nie godzą się na podniesienie podatków, a premjer konferuje, a parlament jest niezadowolony.

Wytwarza się stan nieznośny. Próba „oswojenia" czy „ugłaskania" związków zawodowych, ewolucyjnego wprowadzenia ich do warsztatu pracy państwowej idzie niesłychanie opornie, zapewne też nie da wyników pozytywnych.

Jakież z tych przykładów wynikać mogą wnioski? Przykładem decydującym nie mogą być Włochy. To, co się tam dzieje jest połączeniem dwóch równoległych sił: faszyzmu i państwa w państwo faszystowskie albo — faszyzm państwowy; klamrą, która te dwa pasy spina, jest osoba Mussoliniego, gdyby zabrakło tej klamry, mogłoby się okazać, że faszyzm i państwo idą przeciwko sobie, że organizacja korporacyjna rozsadza ramy państwa.

Nie jest także przykładem Hiszpanja. Tam swoiste stosunki niewyrobione społecznie, świeżość życia demokratycznego i republikańskiego liberalizmu stwarza stan chaosu, z którego trudno coś sądzić, faktem jest jednak i o tem pamiętać należy, że syndykalizm i republika demokratyczna wypowiedziały tam sobie wojnę.

We Francji odbywa się próba ewolucyjnego oswojenia syndykalizmu, próba wzięcia w żagle państwowe wartości sprzecznych organizacyj zawodowych, próba ze wszech miar interesująca, zważywszy, że rozwój syndykatów jest tam stosunkowo największy i najdojrzalszy, ale jeszcze próba ta jest zbyt nikła, aby z niej można coś wnioskować stanowczo.

Jedno tylko jest bodaj pewne, że ludzie, którym się zdaje, że dość wyciągnąć rękę, aby ująć i w jedną państwową całość skupić rozbieżne interesy zorganizowanych grup społecznych, że ludzie ci mogą sobie ufne ręce ciężko pokaleczyć.

W strukturze państwa nie można zapominać o wszystkich wartościach społecznych. Nie można zapominać o wartościach jednostki wolnej od organizacyjnego nakazu zawodu czy innej grupy, bo wtedy tylko jednostka jest naprawdę twórczą; — nie można zapominać o naturalnych tendencjach grupowania się i organizowania w rozmaitych postaciach częściowych, które, stanowiąc realny samorzutny czynnik konstruktywny życia społecznego, nie wyczerpują jednak bez reszty jego problematów; — nie można wreszcie zapominać o masie ludzkiej jako takiej, zbiorowości niezorganizowanej, skupionej w sposób naturalny w całości społecznej państwa.

Wszystkie te czynniki są składnikami, bez których nie da się rozwiązać problematu państwa. Wszystkie trzy czynniki muszą mieć głos w rozstrzyganiu tych problematów zarówno, gdy chodzi o zasady ustroju, jak jego funkcjonowanie.

Odpowiednia tych czynników koordynacja, odpowiednie ich wykorzystanie dla celów wspólnych wszystkim — oto najdonioślejsze zagadnienie ustrojowe.

KSIĄŻKA P. N. „PAŃSTWO“

Prawie ćwierć wieku temu wyszła we Francji ciekawa praca Paul Louis'a zajmująca się analizą sprzeczności pomiędzy Państwem a Syndykalizmem. Od tego czasu w życiu społecznem państwa zaszły bardzo głębokie przeobrażenia. Ruch syndykalistyczny, który był podówczas dopiero w zalążku, rozwinął się, zyskał na sile, stał się czynnikiem oficjalnym życia publicznego; co więcej — powstała koncepcja pogodzenia tych przeciwstawnych elementów w postaci t. zw. państwa syndykalistycznego, albo przynajmniej korporacyjnego, t. j. państwa, którego elementami składowemi są organizacje zawodowe.

To przeobrażenie szukało dla siebie form prawnych, jak dotąd bez większego powodzenia. Próby t. zw. reprezentacji interesów, częściowego lub całkowitego przeobrażenia parlamentu na przedstawicielstwo interesów zawodowych, korporacyjnych, i t. p. oparcia organizacji państwowej na związkach zawodowych, na zrzeszeniach przymusowych przybierały bardzo rozmaite formy. Od Rady Gospodarczej w Kon-

stytucji Wejmarskiej aż do państwa korporacyjnego faszystów włoskich, albo systemu wielostopniowej reprezentacji „Sowietów", wszystko to są odrośle tego samego pnia, wszystko to są próby, zmierzające mniej lub więcej konsekwentnie i śmiało do zastąpienia demokracji parlamentarnej, jako treści państwa XIX wieku, przez organizacje interesów, zawodów, korporacyj.

Oczywiście różnice szczególne są ogromne, ale zagadnienie w istocie swojej to samo.

Tam, gdzie jeszcze formy prawne nie znalazły wyrazu dla tych zagadnień, tam siłą faktu mamy z niemi do czynienia. Syndykaty urzędnicze, z któremi konferował i na których się rozbił rząd Paul-Boncoura, są instytucją bezprawną, bowiem prawo francuskie nie uznaje związków zawodowych funkcjonarjuszy państwowych. Do roku 1924 były one wprost ścigane, od tego czasu są tolerowane, obecnie zaś związki te, połączone z równie bezprawną formalnie C. G. T. (Konfederacją Generalną Pracy) stały się potęgą, która rozkazuje rządowi i parlamentowi, a więc rozkazuje państwu.

Wraca, ściślej: nabiera nowej ostrości pytanie co do stosunku pomiędzy państwem a syndykalizmem, pomiędzy organizacją ogólną a zrzeszeniami częściowemi, pomiędzy solidarną całością społeczną a poszczególnemi interesami grup.

Pytanie to występować może pod rozmaitemi po-

staciami: czy związki zawodowe, kartele, syndykaty, organizacje częściowe mogą istnieć w państwie, nie rozsadzając go; jaka jest rola tych organizacyj, jakie ich zadania w ramach państwa i poza niemi; jakie formy organizacyjne są najlepsze, aby pogodzić potrzeby powszechności państwowej i grup poszczególnych, zrzeszonych w organizacjach częściowych wszelkiego typu? i t. p. Jaka jest w tem wszystkiem rola jednostki, skąd się biorą i w jaki sposób mają znaleźć zaspokojenie jej prawa?...

Ale ponad te wszystkie pytania szczególnie wysuwa się jedno zasadnicze, dotyczące państwa; jego bytu i jego roli.

Musimy bowiem stwierdzić, jednoczesny rozwój dwóch przeciwstawnych tendencyj: z jednej strony zdawałoby się, że państwo ma być rozsadzone, osłabione, sprowadzone do rzędu licznych i rozmaitych zrzeszeń ludzkich, zmuszone do wywalczania sobie jakiego takiego stanowiska pomiędzy organizacjami różnorakiego typu, stwarzanemi przez ludzi dla zaspakajania różnych potrzeb życia zbiorowego, — z drugiej strony mówi się o wzroście potęgi państwa tak dalece, że nawet ukuto wyraz nowy „statolatrja", coś jakby bałwochwalstwo w stosunku do państwa.

Czy organizacja klasowa, korporacyjna, zawodowa i t. p. może zastąpić państwo? Są tacy, którzy w to wierzą. Przecież poprzez granice państwa rozwijają się związki międzynarodowe, łączące ludzi jednej kla-

sy lub zawodu, kierowanych wspólnością ściślejszego interesu, przecież wewnątrz państwa takie związki rządzą się własnemi potrzebami i nakazami, walczą z państwem i rozkazują państwu.

Możnaby zatem wytworzyć system takich zrzeszeń, wyzwalających się ze skrępowania powijaków państwowych, które po spełnieniu swej misji historycznej mogą odpaść, jako niepotrzebne już, krępujące więzy.

Czyżby zatem walka o potęgę państwa była beznadziejną obroną podkopanej i straconej pozycji, konserwatywnem upieraniem się przy obumierającej przeszłości?

Kiedy tak rozmyślam nad powagą tych pytań, oczy moje spoglądają przypadkowo na jakąś otwartą książkę. Stoją tam, obok siebie, nad sobą, pod sobą nawzajem szeregi liter podobnych i różnych, połączonych w jakieś kombinacje wyrazów; wyrazy ułożone w zdania, skupione w wiersze i kolumny, rozłożone po stronach książki, spojone mechanicznie sztuką drukarską i introligatorską, ułożone misternie twórczą siłą myśli. I zdaje mi się naraz, że każda taka litera jest podobna do człowieka; czemże ona jest sama przez się — kawałkiem ołowiu, znaczkiem mniej lub więcej dziwacznym odciśniętym na papierze, może czemś a może niczem. Położona obok innej w skupieniu organicznem staje się wyrazem, wyrazem myśli, ducha, siły, staje się potęgą, która może wyzwolić

czyn ludzki nieobliczalny w skutkach, staje się organizacją, zrzeszeniem samoistnem w jakiejś wielkiej całości. Taki wyraz ma już własną treść, własne życie, własny byt i rolę w stosunku do liter, z których się składa, w stosunku do innych wyrazów, obok których stoi.

Odwracam karty książki, na jej okładce dużemi wyraźnemi literami wypisany wyraz „Państwo".

Państwo składa się z liter — przepraszam — z ludzi; to książka składa się z liter. Państwo jest taką książka, w której literami są ludzie. Ale czyżby naprawdę nie było w książce nic poza literami i ich ugrupowaniami wyrazowemi. Czyżby naprawdę państwo było tylko sumą jednostek ludzkich albo ich częściowych zrzeszeń?

Można oczywiście powiedzieć: książka jest niepotrzebna, litery mogłyby trwać równie dobrze w postaci rozsypanych czcionek, albo niezwiązanych w całość wyrazów. Czy jednak rzeczywista istność wyrazów i liter nie polega właśnie na tem, że są one częścią składową książki, czy to nie w niej właśnie tkwi ta myśl, która stanowi o sensie istnienia liter i wyrazów.

Ta oto litera „a" pomiędzy wyrazami: „syndykalizm a państwo", jedna mała samogłoska ileż ma głębokiego społecznego, jeśli się tak wyrazić można, znaczenia. Jest ona doniosłym czynnikiem w społeczności liter, ma swoją rolę, swoje zadanie, łączy i przeciw-

stawia dwie olbrzymie potęgi. Jeżelibyśmy teraz rozsypali czcionki tych wyrazów, ta sama litera „a" stanie się niczem.

Są litery wielkie i małe, wyrazy ważne i nieważne, zdania głębokie i puste, ale wszystkie one żyją, istnieją, są przez tę książkę.

Są ludzie wielcy i mali, zrzeszenia ważne i nieważne, organizacje twórcze i destrukcyjne, ale wszystkie one żyją, istnieją, są przez to, że stanowią część organizacji ładu społecznego, której podstawową formą jest państwo.

Oczywiście człowiek jest czemś więcej niż literą; oczywiście też państwo jest czemś więcej niż książką.

Alegorja ta nasunęła mi się zapewne dlatego, że w organizacji życia społecznego państwo ma swoją istotną rolę, swoją własną i niezastąpioną treść.

Tam gdzie jednostka, zapatrzona w samą siebie albo uwiedziona pozorną siłą skupień częściowych, łamie solidarność społeczną państwa, szukając w niem tylko negatywnych gwarancyj dla swoich praw — tam państwo więdnie i nawet tych zadań negatywnych spełnić nie jest w stanie.

Tam natomiast gdzie państwo podejmuje czynną rolę służby społecznej, gdzie potrafi osiągnąć zespolenie obywatelskie w solidarnem współdziałaniu urzeczywistnione, tam nietylko utrwala się byt państwa, ale i prawa obywatela znajdą trwałą pewną i pozytywną podstawę rozwoju.

REWIZJA UMOWY SPOŁECZNEJ

„Zważywszy, że nieświadomość, zapomnienie albo lekceważenie praw człowieka są jedyną przyczyną nieszczęść publicznych", Zgromadzenie Narodowe francuskie postanowiło, uchwalając już całą konstytucję w dniu 3 września 1791 roku „wyłożyć w uroczystej deklaracji przyrodzone, niezbywalne i święte prawa człowieka". W ten sposób przełomowa Deklaracja praw człowieka i obywatela przyjęta w r. 1789, stała się wstępem do konstytucji.

Jakże napozór proste wydawały się wówczas gnębiące i nas bez ustanku powikłania społeczne.

Siedemnaście punktów tej uroczystej deklaracji miały być odtąd przytomne każdej działalności społecznej, każdemu aktowi władzy, każdemu stosunkowi pomiędzy ludźmi i służyć pewną ostoją przeciwko nieszczęściom publicznym.

Te punkty deklaracji są więc zarazem punktami „umowy społecznej".

Doszedłszy do uświadomienia siebie, swojej roli i swego znaczenia, człowiek z końca XVIII wieku zaczął się zastanawiać nad istotą antynomij społecznych. „Człowiek urodził się wolny, a wszędzie widzimy go w okowach", dlaczego tak się dzieje; dlaczego „przyrodzone, niezbywalne, święte prawa człowieka" nie są przez niego wykonywane w pełni? Można wprawdzie powiedzieć, że to tylko kwestja nieświadomości, zapomnienia, błędu lub złej woli, ale ponadto trzeba przyznać, że pewne przynajmniej ograniczenia mają swoje źródło w koniecznościach życia zbiorowego, w pewnych zobowiązaniach wzajemności, których się to życie domaga.

Rzucona przez J. J. Rousseau formuła umowy społecznej, jako koncepcji, wyjaśniającej przeciwieństwa pomiędzy prawami jednostki a koniecznościami społecznemi, przyjęła się w sposób bardzo łatwy, odpowiadała prostemu rozumowaniu: człowiek nie może się wprawdzie wyrzec praw przyrodzonych, związanych z samym faktem jego istnienia i człowieczeństwa, może jednak w drodze umowy z innymi ludźmi ustalić sposób wykonywania tych praw tak, aby sobie wzajemnie krzywdy nie czyniono.

Jak tam było dawniej, czy społeczność ludzka rzeczywiście powstała z umowy społecznej, — to mniejsza, ale, doszedłszy do świadomości w tym przedmio-

cie, trzeba jej dać wyraz w zasadniczych punktach, stanowiącej podstawę prawną życia na przyszłość, deklaracji-umowy.

Tą deklaracją tedy zobowiązują się ludzie do szanowania wzajemnego swych praw przyrodzonych, któremi są: „wolność, własność, bezpieczeństwo i odparcie przemocy". Wszelka społeczność powstaje w celu obrony tych praw itd. itd., siedemnaście punktów umowy społecznej, ujętych w formę uroczystej deklaracji, wszczepionych w ideologję człowieka XIX wieku, mających być podstawą konstytucji państw i ustroju życia publicznego wogóle.

Jakkolwiek niepowtórzona formalnie w aktach konstytucyjnych innych narodów, niewprowadzona w całości do formuł ustrojowych, ta deklaracja-umowa stała się jednak przesłanką prawną. Jej krótkie zwarte hasła, jej zwięzłe formuły przemawiały do wyobraźni i kładły swoje piętno na różne stosunki ludzkie, chociaż w całej rozciągłości nigdy stosowane nie były.

Czy jednak z chwilą ogłoszenia tych punktów, zawarcia tej umowy, ustały wszelkie „nieszczęścia publiczne", jak tego oczekiwali autorzy deklaracji?

Zapewne niektóre ustały, ale przyszły inne. Ustały te, które rzeczywistość obaliła przedtem, zanim deklarację sformułowano; ustała formalna nierówność przed prawem, i różne stąd wynikające konsekwencje, ale i to nie bez reszty i nie odrazu. Nowej ostrości

natomiast nabrała nierówność społeczna: nieszczęścia publiczne panoszą się nadal dziś, jakby nic sobie ze zbawczej mocy uświadomienia praw człowieka nie robiły i robić nie chciały.

I oto nawet stwierdzić należy, że dzisiaj, po półtora wieku bezmała, stoimy przygnieceni ogromem nieszczęść publicznych, szukamy ich przyczyn i środków przeciwko nim, a świadomość bezapelacyjnych twierdzeń uroczystej deklaracji niewiele nam pomaga.

A możeby tak zrewidować punkty umowy społecznej?

Na tej drodze wyprzedza myśl naszą doświadczenie życia na każdym kroku i we wszelkich postaciach.

Spróbójmy sprawdzić to na przykładach.

„Celem wszelkiego zrzeszenia politycznego (a więc państwa) jest zachowanie praw przyrodzonych człowieka". Tyle tylko i nic więcej. Tak zarysowało się państwo w rozumieniu autorów „umowy społecznej", w rozumieniu tej ideologji, jaka na jej gruncie wyrosła.

Czyż trzeba jednak skomplikowanych wywodów, ażeby dziś przekonywać kogokolwiek, że celem państwa jest jeszcze coś innego. Czyż codzień i co godzina nie stawiamy „wszelkim zrzeszeniom politycznym" a państwu w szczególności szeregu nowych i rozmaitych zadań; czy miejsca tych negatywnych czysto postulatów, zachowania praw rzekomo przyrodzonych, nie zajęło dążenie do realizacji zadań pozy-

tywnych: rozszerzenia praw, ulepszenia urządzeń, podniesienia poziomu, a choćby tylko zaspokojenia potrzeb powszechności obywatelskiej?

„Wolność polega na możności czynienia wszystkiego, co nie szkodzi innemu". „Granice jej określa ustawa". „Co nie jest zabronione przez ustawę, nie może być zakazane". Twierdzenia słuszne, ale czy zupełne. Czy ustawa dzisiejsza, dzisiejsze normy porządku prawnego ograniczają się tylko do negatywnej obrony istniejących indywidualnych praw, czy nie nakładają obowiązków w imię zaspokojenia pozytywnego zbiorowej potrzeby, czy nie powołują ludzi do współpracy, do aktywnego udziału w zbiorowem osiąganiu społecznych celów, czy państwo nie jest w tej dziedzinie organizatorem akcji samoistnej albo interwencyjnej, pomocniczej, ale zawsze akcji, pracy czynnej, nie tylko nieszkodliwej dla jednostki, ale pożytecznej dla zbiorowości.

Czy wolność nie jest skutkiem trwałości prawa, czy nie jest wynikiem przeświadczenia, że pewne normy są stałe, niezależne od przypadku cudzej woli, ale tylko od objektywnie stwierdzonej mocy prawnej; czy równość ludzi wobec prawa także nie opiera się właśnie na tym objektywnym jego charakterze, niezależnym od czyjejkolwiek woli. Bo gdybyśmy dopuścili, że źródłem prawa jest wola jednostkowa czy zbiorowa, otworzylibyśmy pole prawu niesprawiedliwemu, łamiącemu wolność i równość.

„Własność jest prawem nienaruszalnem i świętem", jednem z przyrodzonych praw człowieka. — A czy w dzisiejszych pojęciach, w dzisiejszych ustawach konstytucyjnych nie spotykamy twierdzeń o wiele skromniejszych, że „własność jest jedną z podstaw ustroju społecznego i porządku prawnego", a więc nie prawem przyrodzonem, tylko formułą prawną, która wynika z ustroju społecznego, jest funkcją społeczną, jako taka ulegać musi przemożnemu wpływowi potrzeby społecznej. Albo jeszcze wyraźniej, że „bogactwo narodowe bez względu na osobę właściciela, podporządkowane jest interesom gospodarstwa narodowego". A formuły te nie są wzięte bynajmniej z najbardziej rewolucyjnych lub socjalistycznych konstrukcyj, pierwsza z nich — to tekst art. 99 konstytucji marcowej polskiej, druga — art. 44 konstytucji hiszpańskiej. Odmienne sformułowania mają tu to samo podłoże ideologiczne, jakże inne, aniżeli uroczysty tekst deklaracji — umowy społecznej z r. 1789 — 1791.

Autorzy tej umowy patrzyli oczyma swojego czasu i swoich doświadczeń na ówczesną rzeczywistość i dawali spostrzeżeniom swoim formuły tekstów, jakie im się wydawały słuszne.

My dzisiaj patrzeć musimy na dzisiejszą rzeczywistość oczyma naszych doświadczeń i naszego czasu. Musimy poddać rewizji umowę społeczną.

Człowiek nie rodzi się wolny ani równy — wolność

i równość ludzi jest zdobyczą długotrwałej walki i pracy życia społecznego, jest wynikiem udoskonalonego porządku prawnego. Stałość i powszechność porządku prawnego są podstawami wolności i równości obywatelskiej.

Państwo nie jest „związkiem politycznym dla zachowania praw przyrodzonych człowieka"; Państwo jest koniecznem i naturalnem, na solidarności i zależności wzajemnej opartem zespoleniem obywatelskiem; celem państwa jest organizacja współpracy obywatelskiej dla zaspokojenia potrzeb zbiorowego życia, dla urzeczywistnienia ładu prawnego, rozszerzenia i udoskonalenia życia i jego warunków. Czynność pozytywna tego zespolenia obywatelskiego polega na zużytkowaniu dla zbiorowego celu pracy i uzdolnień człowieka, na udzieleniu człowiekowi pomocy i opieki zbiorowej.

Ale co najistotniejsze, to, że nie prawa przyrodzone człowieka ograniczone umową społeczną są tym faktem pierwotnym, z którego wynikają zasady organizacji życia zbiorowego, tylko wprost odwrotnie z pierwotnego faktu społecznego, jakim jest zespolenie ludzi w całość organizacyjną, wynikają normy prawa objektywnego, które wciąże i chroni, powołuje do współdziałania człowieka i daje mu prawa osobiste, prawa społeczne.

Czyż te różnice nie stanowią dowodu, że nadeszła

chwila, w której umowę społeczną należy poddać rewizji.

Nie jesteśmy tak bezwzględni, ani tak apodyktyczni, jak nasi przodkowie, musimy jednak stwierdzić, że „nieświadomość" związku, jaki zachodzić musi pomiędzy człowiekiem a społecznością, jest jedną z przyczyn nieszczęść publicznych; że warunkiem przezwyciężenia tych nieszczęść jest świadoma i zdecydowana praktyka zespolenia obywatelskiego.

Biblioteka Ministerstwa Pracy
Nr 771
Opieki Społecznej i Zdrowia

771 KPiP
1100771
LIBRIS
ARCHIVE
NUMBER
P0000548812